T. 542.191

Robinson Kruzoe

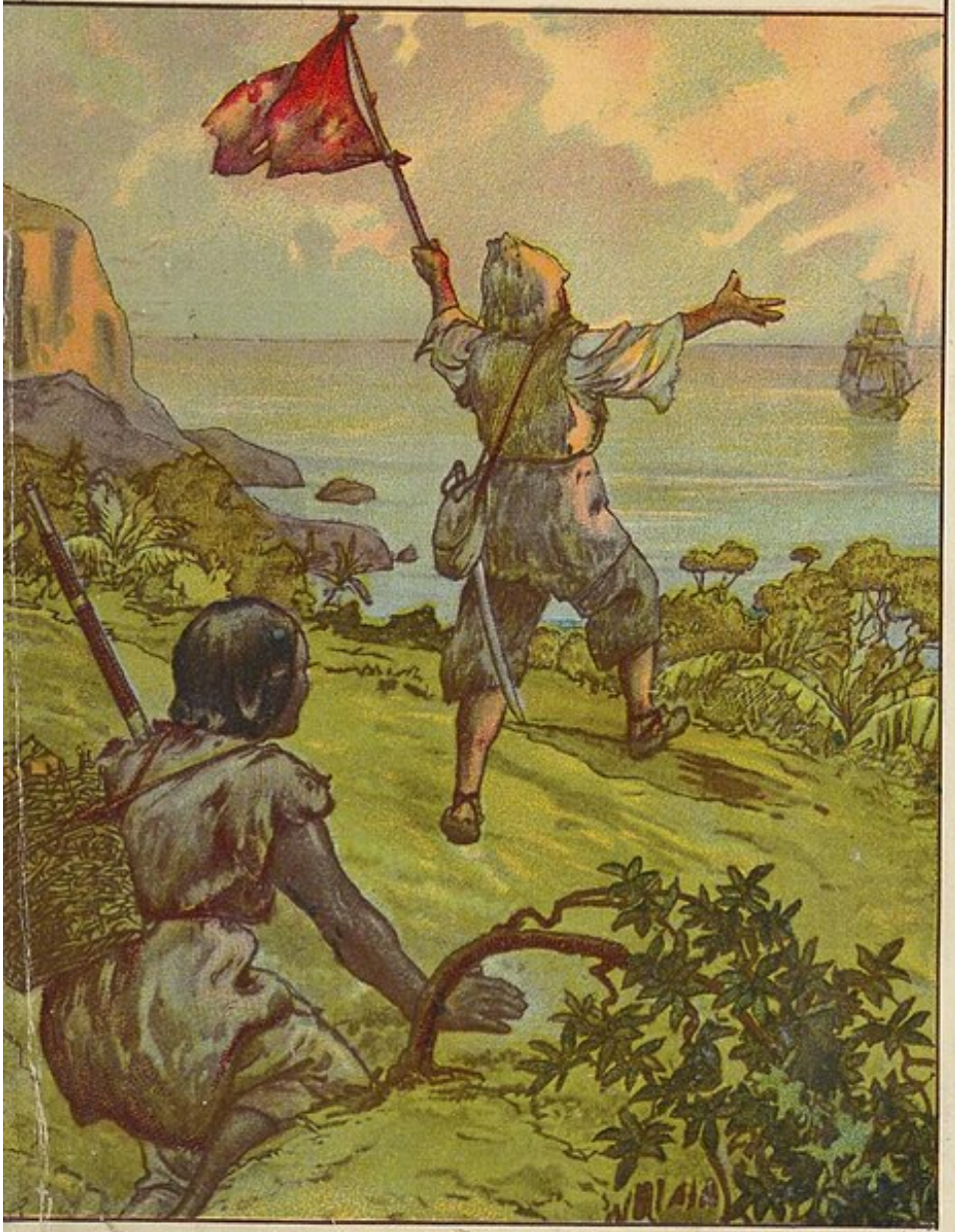

Robinson Kruzoe

Elwira Korotyńska Daniel Defoe

Nowe Wydawnictwo, Warszawa, 1929

Pobrano z Wikiźródeł dnia 12 czerwca 2026

NOWA BIBLJOTEKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Robinson Kruzoe

z kolorowemi ilustracjami

opracowała
E. K O R O T Y Ń S K A

NAKŁADEM „NOWEGO WYDAWNICTWA”
WARSZAWA, ul. Sienna № 3.

Spis rzeczy.

CZĘŚĆ I.
Ucieczka Robinsona. Różne przygody. Robinson na wyspie bezludnej.

CZĘŚĆ II.
Życie na wyspie. Wyszukiwanie pożywienia. Ogień z pioruna. Trzęsienie ziemi. Choroba Robinsona.

CZĘŚĆ III.
Budowa statku. Ślad stopy ludzkiej. Przybycie dzikich na wyspę. Ocalenie Piętaszka.

CZĘŚĆ IV.
Robinson z Piętaszkiem zamierzają opuścić wyspę. Burza. Rozbicie okrętu u brzegów. Budowa tratwy i zabranie różnych rzeczy z okrętu.

CZĘŚĆ V.
Dzicy na wyspie. Uczta ludożerców. Uratowanie białego jeńca i ojca Piętaszka. Robinson opuszcza wyspę. Hiszpanie ustanowieni rządcami.

CZĘŚĆ VI.
Po powrocie do kraju. Śmierć rodziców. Wyjazd do Londynu. Powrót do Marsylji, ożenienie się. Wyjazd powtórny po śmierci żony. Napad dzikich poza wyspą. Zabicie Piętaszka. Wyprawy na Madagaskar, Bengal, Mongolję, i Chiny. Pobyt w Syberji. Zamieszkanie na koniec życia we Francji.

Druk. W. Kucharski i S-ka, Warszawa, Chłodna 27.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

CZĘŚĆ I.

ROZDZIAŁ I.

Ucieczka z domu rodzicielskiego. — Burza na morzu. — Ocalenie.

ROZDZIAŁ II.

Pobyt w Algerze i na wyspie Karierze — wyjazd do Brazylji — Burza — rozbicie się okrętu o skałę.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ I.

Ucieczka z domu rodzicielskiego. — Burza na morzu. — Ocalenie.

Przed kilkuset laty, w dużem portowem mieście Marsylji, mieszkał bardzo bogaty kupiec Robinson. Nie brakło mu niczego z pozoru, miał bowiem dostatki, miłość ludzką i trzech dzielnych synów, a jednak nieszczęście zawisło nad nim i jego małżonką i raz po razie napełniało serca tych zacnych ludzi rozpaczą.

Pierwszy z synów, po ukończeniu nauk, zapragnął wstąpić do wojska, na co rodzice, choć marzyli dla niego o innym zawodzie, zgodzili się i wyprawili w drogę. Jako oficer, stanąwszy na czele swego pułku, poległ w obronie ojczyzny. Opłakiwali go rodzice ze smutkiem, pocieszając się tylko widokiem dwóch pozostałych synów.

Niedługotrwała to była pociecha. Średni syn, posiadający niezwykłe zdolności, zapragnąwszy zostać uczonym, zagłębił się w książkach i po dniach całych i nocach pracował nad zdobywaniem wiedzy. Osłabiony nadmierną pracą, zaziębił się i zachorował a niezadługo potem zrozpaczeni rodzice odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki ukochanego swego syna.

Pozostał już tylko najmłodszy. Tego postanowili rodzice stanowczo nie wypuszczać z pod swej opieki i wykierować na kupca.

Robinson Kruzoe był chłopcem zdrowym i silnym, ale

opieszałym i leniwym. Wiedząc, że rodzice drżą o niego i kochają nad miarę, robił co mu się podobało, a właściwie nie robił nic.

Cały dzień spędzał na spacerach, na wizytowaniu swych kolegów i przyglądaniu się odjeżdżającym lub przybywającym do portu okrętom.

Z lenistwa i wmówienia w siebie, że ci, co są na okrętach nie mają nic do roboty, wynikła chęć zostania marynarzem.

— Bujać będę po błękitach morskich, ujrzę kraje obce, ptaki i zwierzęta, które tu znam tylko z obrazków... To mi będzie życie! — myślał Robinson.

Kupiectwo nie uśmiechało się mu zupełnie. Widział trudy i pracę do tego zawodu przywiązaną, czuł, że nie zdołałby tak usiedzieć na miejscu, jak jego ojciec, że opuszczałby sklep, a tem samem narażałby się na straty.

Jednym słowem — gnało go coś ku nieznanym krainom, odpędzało od książki i kazało mu biedz nad brzeg morski i przyglądać się okrętom.

Pewnego dnia, wybiegłszy z domu pod jakimś pozorem, puścił się do ukochanego portu i z westchnieniem patrzał na przygotowujące się do odjazdu okręty.

A musimy tu dodać, że rodzice Robinsona nie pozwalali mu nawet myśleć o obraniu zawodu marynarza.

— Dość już mieliśmy rozpaczy z powodu tych dwóch utraconych synów — mówili — niechżeż ten choć pozostanie dla nas na starość.

Ale któż powstrzyma pęd marzeń młodego, rozpieszczonego chłopca?

Nie słuchał rodziców i słuchać nie myślał. Nie wzruszały

go prośby ojca i łzy kochającej matki. Do handlu brać się nie chciał, książki pochował do szuflad od stołu i wałęsał się wciąż bezczynnie.

Widzimy go i w tej chwili, przechadzającego się nad morzem, z rękami wsuniętemi w kieszenie, gwiżdżącego jakąś piosenkę.

— Znowu spacerujesz i wzdychasz do podróży? — rozległ się głos młody, nadchodzącego z przeciwnej strony młodzieńca.

— Robinson obejrzał się po za siebie i z radością poznał w nadchodzącym swego kolegę, tak jak on siedmnastoletniego chłopca, syna kapitana, który właśnie wyprawiał się w podróż za morze.

— Dzień dobry ci! A cóż? myślisz, że nie pojadę kiedy o tysiące mil za Marsylję? że wiecznie w tym kącie za ladą sklepową mam siedzieć?

Nie, mój drogi kolego, moje marzenia są inne, wyprawię się i ja daleko, daleko…

— Ty?! — zakrzyknął chłopiec ze śmiechem — albo ci na to twój ojciec pozwoli? Najdalej wolno ci popłynąć o dwie wiorsty od Marsylji!…

Podniecony drwinami swego kolegi, Robinson odpowiedział z powagą człowieka dorosłego:

— Mylisz się bardzo! Pozwolenia od ojca nie potrzebuję, i o ile zechcę, dziś jeszcze puszczę się w podróż!..

— A więc w takim razie jedź z nami, kochany Robinsonie. Ojciec mój wyjeżdża swym okrętem do Algeru, poproszę, żeby i ciebie zabrał...

Oczy Robinsona zabłysły wielką radością. Nareszcie

spełnić się mogą jego długoletnie marzenia!

Radość samolubna stłumiła w nim wyrzut sumienia, nie pomyślał nawet o rozpaczy, w jaką pogrąży swym wyjazdem ukochanych rodziców... Spojrzał na cudne błękitne niebo, na falujące u stóp jego morze i postanowił jechać. Zaledwie miał czas na to, aby przez robotnika portowego wysłać do rodziców zawiadomienie, że wskutek niezwykłych i nieprzewidzianych okoliczności zmuszony był wyjechać na kilka tygodni do Afryki.

Jakże szczęśliwym czuł się Robinson wchodząc na pokład, jak dumnym był z tego, że podróż wielomilową będzie odbywał!

Chwila krótka, a odbili od brzegu i znalazł się wobec ogromu fal, przejęty widokiem zupełnie dla siebie nowym, a jednocześnie jakby zatrwożony wielkością i potęgą morza.

Nie żałował, że wybrał się w drogę, że opuścił dom rodzinny i kochającego ojca i matkę, nie pomyślał ani na chwilę o tem, że zakrwawił ich tkliwe serca i, że Bóg sprawiedliwy ukarać go może ciężko za te łzy rodzicielskie, które swem niegodnem postępowaniem wywołał.

Ale naraz, gdy okręt chwiać się i przechylać począł z jednej strony na drugą, zrobiło mu się jakoś niedobrze, potem coraz gorzej, wreszcie bladość tak bardzo mu twarz okryła, że majtkowie, zrozumiawszy, iż napadła na Robinsona tz. morska choroba, od której nikt, poraz pierwszy morzem jadący wyzwolić się nie może, śmiać się z niego poczęli.

Ci silni, ogorzali od słońca, zahartowani przez wichry i

walkę z żywiołem, marynarze, czuli się lepiej na morzu niż na lądzie i dlatego nie chcieli wyrozumieć bólu, tęsknoty lub choroby nowowstępujących na ich drogę. Zapomnieli, jak im było ciężko i jak chorowali na mdłości w początkach swego zawodu.

Jeden tylko, syn kapitana okrętu a kolega Robinsona, litował się nad nim i ratował go jedynem na takie dolegliwości lekarstwem tj. grogiem. Tak zwano napój składający się z rumu, wody gorącej i korzeni.

Wzmocniło to trochę Robinsona, ale nie skończyły się jeszcze jego męczarnie, gdy posłyszał gwar zatrwożonych majtków i dobiegły do niego coraz to głośniejsze okrzyki — Położenie groźne! do roboty!.. Gdy podniósł głowę z kąta, w którym ułożył go jego kolega, ujrzał wysoko spiętrzone fale, zakrywające prawie ich okręt, szalupę zdartą i biegającego po pokładzie kapitana, nawołującego do ratowania kajuty, do której już woda wpadała falami, rozbijając okienka i siłą swą wyżłabiając otwory w podłodze i bokach okrętu.

Widząc to wszystko, zrozumiał iż jest zgubiony i że nie ujrzy więcej rodziców, których tak niegodnie opuścił.

Zrozpaczony chciał biedz pomagać, ale siły go opuściły i padł zemdlony na pokład, na którego deski padały olbrzymie fale i lada chwila mogły go zmieść jak ziarnko z powierzchni i pogrążyć w głębokościach morza.

Naraz uczuł się brutalnie podniesionym z pokładu i jakiś szorstki głos zakrzyknął mu nad uchem:

— Wstawaj do roboty! Nie czas leżeć? Do pompy!

Chciał pomódz biedny, obezsilony chłopiec, ale mała to

była pomoc. Osłabiony chorobą i przerażeniem pompował całemi siłami wciskającą się do wyżłobionych biciem fal otworów wodę, ale tak jego słaba pomoc jak i innych była bezowocną.

— Ratujcie się, kto może! — zabrzmiał głos kapitana — na nic wasze usiłowania i praca!

Odczepiono łódź ratunkową i tłoczono się do niej, aby nie zapaść wraz z okrętem w toń morską. Zostawionoby Robinsona, gdyby nie jego kolega, wciąż nad nieszczęśliwym czuwający, — Robinson bowiem leżał bezprzytomny w kącie okrętu, nie wiedząc, co się wokoło niego działo. Jeden z majtków wziął go na plecy i rzucił do łodzi, która napełniona po brzegi wypłynęła na otwarte morze, walcząc z okrutną siłą żywiołu.

Robinson otrzeźwiał wkrótce i ucieszony ratunkiem, jak mu się zdawało, skutecznym, prosił aby mu pozwolili być pomocnym W wiosłowaniu.

— Nie na twoje to siły, chłopcze — rzekł sternik — ot, wiesz, co możesz nam zrobić? patrz w dal, czy nie płynie jaki statek lub okręt, a jak tylko dostrzeżesz, wołaj a my damy sygnały, żeby ku nam przypłynął i nas ratował.

Jakoż niezadługo Robinson zauważył w oddali biały punkcik. Punkt ten rósł mu w oczach, aż doszedł do takich rozmiarów, że i wątpić nie było można, iż jestto zbawczy statek.

Na dawane sygnały, podpłynął ku rzucanej po falach łodzi, wywieszając białą flagę, na znak, że nie wrogiem lecz wybawcą dla nikłej łodzi się okaże.

Nie myślał nigdy Robinson, aby Turcy byli tak

litościwymi i względnymi dla chrześcijan.

Ubrano, napojono i nakarmiono przeziębłych i wygłodniałych rozbitkowi zawieziono tam, dokąd jechano, mianowicie do Algeru.

Bóg Wszechmogący, co i o każdym robaczku pamięta, ocalił tym razem marną łódeczkę, jak łupina od orzecha po rozszalałych falach płynącą i w serca pogan wlał źródło miłosierdzia i litości dla rozbitków, każąc im zapomnieć o różnicy wiary, mowy i obyczajów.

Robinson dziękował Bogu za ocalenie i obiecywał więcej nie martwić rodziców. Czy spełnił to, co w myśli i sercu obiecał! zobaczymy.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ II.

Poszukiwanie żywności — Zabicie lamy — Rozpacz z braku ognia — Nadaremne próby.

Po paru miesiącach przebywania na wyspie, spostrzegł Robinson, że coraz to zmniejszała się ilość orzechów kokosowych i coraz mniej pojawiało się na brzegu morza ostryg, przez fale wyrzucanych.

Zasmucił się tem nasz rozbitek, ale wkrótce uspokoił się myślą, że przecie ani części wyspy jeszcze nie zwiedził, że być może gdzieś dalej są i drzewa kokosowe i inne jakie owoce, któremiby swój głód zaspokoił.

Bał się wprawdzie zapuszczać w głąb wyspy, ale nie uśmiechała mu się także i śmierć głodowa.

Zrobił więc sobie parasol z liści olbrzymiego krzewu, worek podróżny z włókien pnącej się u groty rośliny i wyruszył na poszukiwanie pożywienia.

Idąc powoli obserwował krzew każdy i każde najmniejsze drzewko, czy nie dźwiga na swych gałęziach jakiego jadalnego owocu.

Przeszedłszy już duży kawał drogi zauważył roślinę o bardzo szerokich liściach z kwiatami fjoletowemi, na której zwieszały się ku dołowi owoce w kształcie małych jabłuszek.

Wziął to do ust, ale zaraz odrzucił ze wstrętem. Było to coś okropnie gorzkiego i niesmacznego.

— Niezawodnie trucizna — pomyślał Robinson i ze

złości wyrwał roślinę z korzeniem, odrzucając ją ze wzgardą na trawę. Ze zdziwieniem spostrzegł na korzeniach rośliny bulwy mniejszej i większej objętości przyczepione do włókien.

— A może mi się to przyda?.. to coś osobliwego. Zabiorę z sobą i zobaczę co za użytek z tego mieć będę.

Były to jak się okazało ziemniaki, przywiezione do nas z Ameryki, gdzie rosły w stanie dzikim.

Włożywszy znalezioną roślinę do torby, Robinson wyruszył w kierunku spostrzeżonych przez siebie dużych krzaków. Naraz strach nim owładnął. Przystanął i wsłuchiwał się w dziwny jakiś szelest. Ludzie to czy zwierzęta? — zapytywał siebie w przerażeniu nieszczęśliwy wędrowiec. — Boże! może to dzicy ludzie!

Ale uspokoił się wkrótce. Z poza krzaków wysunęło się stadko ślicznych białych lam, o długim, ku ziemi opadającym włosie, wielkości mniej więcej dużego źrebaka a z postaci podobnych do wielbłąda.

Robinson znał te zwierzątka z obrazków i wiedział, że są bezbronne. O, z jakąż rozkoszą zjadłby kawałek mięsa, jak łaknął już czegoś pożywniejszego nad orzechy kokosowe i ostrygi!

— A nuż mi się uda! — pomyślał i skrył się za krzakiem, trzymając w obu dłoniach swą kamienną siekierę, gotową do zadania ciosu.

Zwierzątka przechodziły zdała, ale naraz jedna z nich odłączyła się od stada i skubać poczęła trawę w pobliżu Robinsona.

Z całej siły uderzona siekierką, padła. z ostatnim jękiem

u stóp niespodziewającego się takiej zdobyczy rozbitka.

Uszczęśliwiony połowem, zawrócił ku domowi, rozmyślając nad dobrocią Boga, który tak cudownie nad nim czuwał i chronił od głodu.

Przybywszy do swej groty zaraz zabrał się do zdzierania skóry z lamy, zamyślając zrobić sobie obuwie, bardzo zdarte już od ciągłych wędrówek i poszukiwań.

Wyciąwszy z lamy największe i najsmaczniejsze kawałki, zawiesił je na dwóch spojonych z sobą gałęziach, aby uciec to i jaknajprędzej spożyć.

Naraz załamał ręce w rozpaczy i z ust jego wyszła skarga, jak u bezbronnego dziecka:

— Ognia! nie mam ognia! Na czem upiekę?...

Przypomniał sobie, że w opisach wyczytywał nieraz sposób praktykowany przez dzikich, mianowicie, tarcie drzewa o drzewo. Rozpoczął tę czynność, ale po nadaremnych wysiłkach, spróbował przyrządzić mięso na sposób tatarski.

Wyszukał dwa duże płaskie kamienie, włożył pomiędzy nie mięso i z całej siły bić w nie począł swym kamiennym młotem.

Kamienie rozgrzały się po kilku godzinach bicia młotem, wtedy wyjął Robinson mięso i zjadłby natychmiast, gdyby nienowy brak go zaskoczył. Mięso bez soli smakować mu stanowczo nie mogło. Skąd wziąć soli? Przyszła mu myśl skropić je wodą morską, wybiegł więc nad morze z łupiną orzecha kokosowego, aby jej nabrać, a po drodze do morza natknął się na drzewo cytrynowe, całe owocami pokryte. Urwał ich kilka i powróciwszy do swego zamieszkania,

skropił wodą i sokiem cytrynowym owe nawpół surowe ale bardzo kruche pieczyste i spożył z apetytem.

Chwila jedna, a cała polędwica z lamy była spożyta i Robinson po raz pierwszy czuł się naprawdę najedzonym.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I.

Cudowne ocalenie Robinsona — Wyrzucony na wyspę bezludną znajduje z trudem pożywienie — Nocleg na drzewie.

ROZDZIAŁ II.

Poszukiwanie żywności — Zabicie lamy — Rozpacz z braku ognia — Nadaremne próby.

ROZDZIAŁ III.

Pierwsza burza z piorunami — Rozniecenie ognia przez piorun — Radość Robinsona — Pierwsza pieczeń — Postanowienie złapania lamy żywcem.

ROZDZIAŁ IV.

Robinson znajduje żółwie. — Złapanie lamy i dwojga jagniątek. — Trzęsienie ziemi. — Ucieczka. — Uciszenie się żywiołów. — Robinson łapie papugę.

ROZDZIAŁ V.

Zbieranie zapasów na zimę. — Uszycie ubrania ze skór. — Choroba Robinsona po porze deszczowej.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ I.

Cudowne ocalenie Robinsona — Wyrzucony na wyspę bezludną znajduje z trudem pożywienie — Nocleg na drzewie.

Nie przeznaczonem było Robinsonowi, zginąć w głębokościach morskich. Bóg dobry chciał mu dać czas jeszcze do obżałowania swego postępku, do poprawienia lekkomyślnego swego życia.

Fala unosząca Robinsona z pod łódki, na którą się schronił, rzuciła go na sterczącą w pobliżu, urwistą skałę i uderzeniem o nią, przywróciła biednemu chłopcu przytomność.

Jakby z długiego snu obudzony rozejrzał się Robinson, a zobaczywszy, gdzie jest, rzucił się ku jedynej drodze ratunku, którą była zbawcza na teraz skała i czemprędzej począł się na nią wdrapywać.

Rozpacz dodaje siły. Robinson pomimo głodu i osłabienia zdołał wejść na szczyt skały, poczem zsunąć się na grunt porosły trawą i roślinami o dużych liściach i szkarłatnych olbrzymich kwiatach.

Stanąwszy na gruncie, padł na kolana, w kornej modlitwie dziękując Bogu za ocalone życie.

Nie zważał na to, że jest sam na tej olbrzymiej wyspie, albo też, że jest na ziemi zamieszkałej przez plemię ludożercze Karaibów, którzy w stronach tych podobno mają swoje siedziby.

Radowała go myśl, że jest przy życiu, że nie zginął jak tamci nieszczęśni w falach morza na żer rekinów i ryb żarłocznych.

Chcąc poznać wyznaczoną mu przez los miejscowość, Robinson począł biedz przed siebie, rozglądając się wokoło ciekawie. Naraz ujrzał, że tarcza słoneczna bardzo szybko poczyna się ściemniać i strach go ogarnął, gdzie noc spędzi i czy dziki zwierz lub jadowite węże, których w krajach gorących tak wiele, nie ukrócą mu życia, tak cudownie dziś ocalonego.

Wziął się na zwykły sposób ludzi nie mających w podróży noclegu. Uchwycił się pnia dużego drzewa i wdrapawszy się wysoko, objął gałąź obu rękoma a zmówiwszy swą zwykłą modlitwę usnął niebawem.

Sny ciężkie trapiły biednego Robinsona. Cóż dziwnego! Tyle przebył, tyle przecierpiał przez czas tak krótki, że majaczenia gorączkowe były naturalnem następstwem przejść wszelkich i wypadków.

Naraz widzi we śnie ukochanych swoich rodziców, siedzących w stołowym pokoju, widzi smutkiem powleczone twarze i włosy od zmartwienia zbielałe...

Przejęty tęsknotą i miłością ku tym najdroższym, których napełnił rozpaczą, wyciąga ku nim ramiona i wołając: Moi drodzy, moi kochani rodzice, oto jestem z powrotem! — pada na murawę z ułamaną jednocześnie gałęzią, którą podczas snu obejmował. Szczęściem padł na podłoże z mchów i paproci, nie wyrządziwszy sobie krzywdy. Nie mogąc jednak już usnąć, doczekał ranka, postanawiając wyszukać sobie jakiegokolwiek pożywienia.

Idąc drogą mniej od innych zarosłą, wypatrywał Robinson drzew, na których wisiałyby tak pożądane przez niego owoce.

Biedak wspomniał sobie dawne życie w Marsylji i gorzko błąd opłakiwał.

Tam, u rodziców, o tej porze leżałby jeszcze w ciepłem i wygodnem łóżeczku, a dłoń kochającej matki, stawiałaby mu przy łóżku ulubione przysmaki i mleko. A oto teraz idzie głodny i spragniony i napróżno wygląda czegoś do jedzenia zdatnego.

Otrząsnął się jednak z tych smutnych myśli i zdał się na wolę Bożą. Jakby w nagrodę tego ujrzał przezrocze źródełko wytryskające ze skały a ugasiwszy pragnienie, raźniej zabrał się do poszukiwań.

Idąc prosto przed siebie dotarł do brzegów morskich, gdzie spostrzegł dużo ostryg wyrzuconych przez przypływ morza i wczorajszą szaloną burzę. Z radością podbiegł do muszli, cóż jednak za zawód go spotkał! Łupiny od ostryg były puste!

Zrozpaczony zaczął szukać z podwójną gorliwością i znalazłszy kilka, roztworzył muszle i choć tą odrobiną głód zaspokoił na chwilę. Wróciwszy na miejsce, gdzie stało drzewo, na którem spoczywał w nocy, rozmyślać zaczął nad tem, że przecie, tak przez czas nie wiedzieć jak długi, sypiać nie będzie w możności. Postanowił poszukać jakiej groty, w którejby mógł się schronić i spoczywać, a znalazłszy takową obsadził drzewami, poczem nasuszył siana z traw bujnie tutaj rosnących i przygotowawszy posłanie, po raz pierwszy od przybycia na odludną wyspę

zasnął spokojnie i wygodnie.

Obudziwszy się przemyśliwać zaczął nad tem, jakieby jeszcze pożywienie oprócz ostryg, w małej ilości na brzeg wyrzucanych, mógł znaleźć.

Zjadłszy parę ostryg i popiwszy je wodą źródlaną, wyruszył na poszukiwanie.

Nachodziwszy się dzień cały, zmartwiony bezowocnem poszukiwaniem, zawracał już ku swej grocie, gdy naraz spostrzegł szerokolistny krzew, u góry zakończony kulą. Wdrapawszy się na wierzchołek wyrwał olbrzymi i bardzo ciężki owoc i zeszedłszy na trawę, przyglądać mu się począł. Cóż, kiedy skorupa okalająca ten dziwny owoc była tak twarda, że nie mógł myśleć o jej rozbiciu i zajrzeniu do wnętrza. Udało mu się tylko narazie wyżłobić otworek, a gdy zaczęło z niego płynąć jakby mleko, spróbował i przekonawszy się o wspaniałym smaku tego roślinnego napoju, postanowił do niego się dostać. Ostrym krzemieniem powoli rozłupawszy orzech, znalazł w nim jądro duże i smaczne, oblane słodkiem i orzeźwiającem mlekiem. Nasyciwszy się orzechem, który, jak się okazało zwał się kokosowym, pełen ufności, że nie umrze tu z głodu, tembardziej, że dużo podobnych drzewek znajdowało się w pobliżu, wrócił Robinson do zagrody, dziękując Bogu za opiekę i troskliwość o każde stworzenie. Z łupin kokosowego orzechu Robinson skorzystał w ten sposób, że użył je do czerpania wody ze źródła, do czego okazały się nadzwyczaj odpowiednie.

Nazajutrz była według obliczenia Robinsona niedziela, postanowił dzień ten Bogu poświęcić, modląc się i

dziękując za doznawane do tej pory dobrodziejstwa.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ III.

Pierwsza burza z piorunami — Rozniecenie ognia przez piorun — Radość Robinsona — Pierwsza pieczeń — Postanowienie złapania lamy żywcem.

Pokrzepiony mięsem z lamy Robinson zasnął tak mocno, że ani razu w ciągu nocy nie zbudził się nawet na chwilę.

Zdrów, wesół i zupełnie wypoczęty zerwawszy się z swego posłania wybiegł przed grotę i z przerażeniem cofnął się do wnętrza. Podczas, gdy tak smacznie zasypiał, piękna wczorajsza pogoda zamieniła się w ulewę połączoną z grzmotami. Niebo zasnute było chmurami, raz po raz rozlegały się odgłosy padającego gdzieś pioruna, a przeświadczenie, że się jest samym wśród rozszalałego żywiołu, napełniało grozą biednego rozbitka.

Robinson z przestrachem oczekiwał huku piorunu, myśląc, że może ten właśnie zakończy jego życie, wresz gdy się na chwilę uciszyło, sądząc że już wyjść może z groty i wyruszyć na polowanie, przeszedł próg swego zamieszkania. Naraz huk straszliwy rozerwał powietrze, huk tak głośny, że Robinson padł ogłuszony na ziemię, wydając tylko okrzyk: Jestem zabity!

Po niejakim czasie przyszedł do przytomności i pierwszym widokiem, jaki weń uderzył był obraz palącego się obok groty drzewa. Piorun uderzył weń i snop palących się iskier dolatywał aż do Robinsona, który, wydawszy okrzyk radości podbiegł do płomieni, dziękując Bogu za

rozniecenie piorunem ognia.

Czemprędzej, gdy się już rozjaśniło zawiesił kawał lamy, a gdy się upiekła, poraz pierwszy zajadał prawdziwe pieczyste, upieczone na ogniu z nieba zesłanym. Martwiła go tylko myśl, jak utrzyma płomienie, w jaki sposób zachowa je na czas dłuższy, aby módz zjeść coś ugotowanego lub upieczonego.

— Nic innego mi nie pozostaje do zrobienia, jak dokładać wciąż drzewo, aby nie zgasło... — Wreszcie, przyszła mu myśl szczęśliwa do głowy urządzić stos z drzewa, tak jak robią węglarze, aby wypalać węgiel drzewny...

Wziął więc Robinson swoją kamienną motykę, wykopał dół, nakładł drzewa i rozpalił, układając do dużej wysokości stos z gałęzi i drzewa.

W ten sposób miał zabezpieczony ogień na kilkanaście godzin, poczem zacznie dokładać aby nie zagasł. Uspokojony co do ognia, ułożył się do snu, zamyślając iść nazajutrz na polowanie zwierzyny, lama bowiem przez niego zabita, na trzeci dzień była już cuchnąca i do jedzenia niezdatna. Straszliwe upały nie pozwalały przechowywać mięsa przez czas dłuższy.

Zbudziwszy się nazajutrz, pełen radości ujrzał stos swój jeszcze płonący, a nie mając niczego do upieczenia, zjadł połowę kokosowego orzecha i wyszedł.

Nie znalazł wprawdzie ostryg, ale spostrzegł pełznącego ku morzu żółwia. Złapał go, zarzucił w worku na plecy i przyniósłszy do domu, zabił i ogołociwszy ze skorupy, zdziwił się wielkością tego stworzenia.

Upiekłszy kawałek, resztę oblał wodą morską i włożywszy do żółwiej skorupy zakopał w ziemi. W ten sposób postanowił zakonserwować mięso i udało mu się to doskonale.

Miał ogień, miał pożywienie, ale brakło mu najważniejszej rzeczy: towarzystwa ludzkiego. Jakżeż byłby szczęśliwy, gdyby mógł podzielić się tym kęsem mięsa z kimś drugim, gdyby mógł choć słowo do kogo przemówić i otrzymać jakąkolwiek odpowiedź.

Chodząc koło groty, zajęty myślami smutnemi o rzeczywistości, o swem osamotnieniu, spostrzegł nad otworem do groty wiodącem pająka snującego sieci.

Widok ten ucieszył go bardzo. — Ach kochane stworzonko! jakżeś poczciwe, że obrałeś tę smutną siedzibę samotnika za mieszkanie, że tu w tej mojej grocie urządziłeś swój warsztat!

Uszczęśliwiony tym małym przyjacielem, przyniósł pająkowi parę much i co jakiś czas starał się mu dostarczać pożywienia.

— Muszę — myślał Robinson — oswoić sobie jakieś zwierzątko, naprzykład lamę. Weselej mi będzie mieć kogoś żyjącego i o kimś mieć staranie. Postanowił iść nazajutrz na polowanie i złapać żywe zwierzątko, tymczasem zawarł kamieniem otwór groty i ułożył się na posłaniu z mchu. Wkrótce sen ciężki, koiciel trosk i tęsknot wszelkich skleił mu powieki i kazał zapomnieć o wszystkiem.

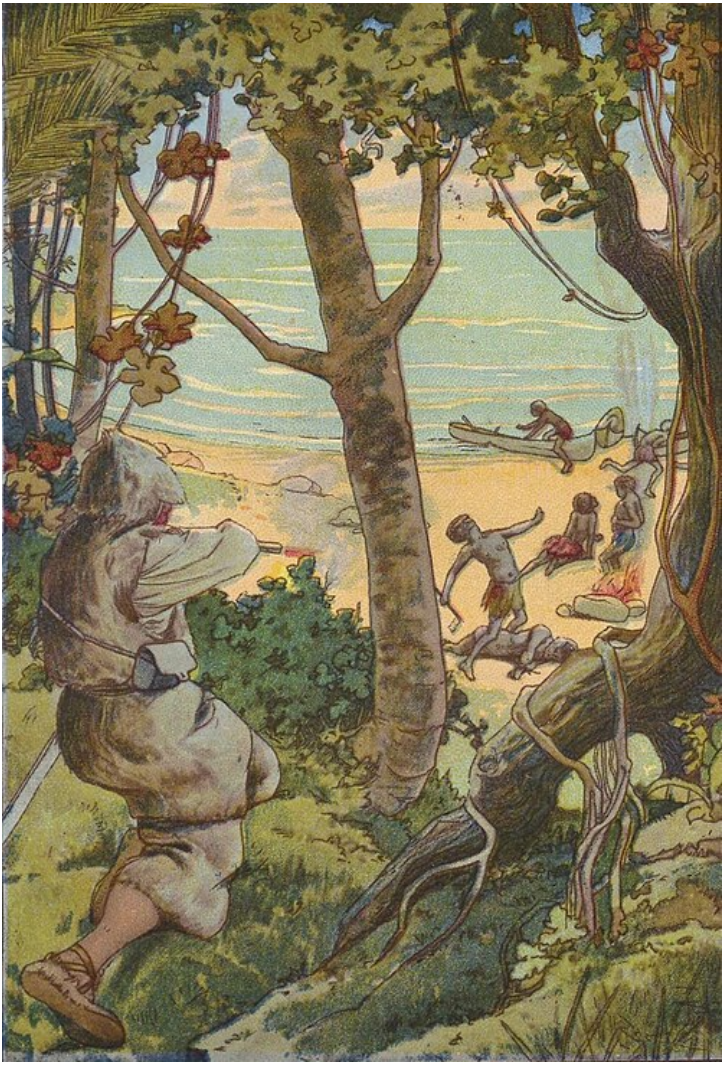

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ IV.

Robinson znajduje żółwie. — Złapanie lamy i dwojga jagniątek. — Trzęsienie ziemi. — Ucieczka. — Uciszenie się żywiołów. — Robinson łapie papugę.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, poszedł Robinson w stronę morza, rozmyślając nad sposobem złapania żywcem lamy. Przekonał się, że nie zrobi tego inaczej, jak za pomocą sznurka, którym opasa szyję zwierzęcia i przyprowadzi do domu.

Wyszedłszy daleko poza grotę, stanął z podziwem nad brzegiem morza i nagle przyszła mu myśl wykąpania się. Dziwił się nawet, że wprzód nie przyszło mu to do głowy. Wskoczył i orzeźwiony zaczął się rozglądać wokoło. W zagłębieniu jednej ze skał ujrzał mnóstwo ostryg i żółwi, wyrzuconych w czasie przypływu przez fale. Ucieszył się z tego odkrycia, spokojny był bowiem o pożywienie. Kąpiąc się dalej zauważył jakieś białe przezroczyste kryształki w szparach wybrzeży. Z jakąż radością przekonał się, że to była tak pożądana przez niego i tak nieodzowna do potraw sól prawdziwa.

Dobrze zapamiętał sobie to miejsce, aby po morskiej kąpieli popłynąć do niej z jakiem naczyniem.

Zadowolony z odkryć wrócił do domu, zamyślając nazajutrz od wczesnego ranka rozpocząć wędrówkę.

Noc przeszła spokojnie, ranek zaświtał tak cudny, jakiego Robinson jeszcze nie widział, zapowiadało się na

piękną pogodę, tak bardzo mu w podróży potrzebną.

Zabrawszy torbę, parasol i opasawszy się sznurkiem, który miał służyć do złapania lamy, wyszedł z groty, ciesząc się, że gdy powróci ze zwierzątkiem, nie będzie tak samotny, jak obecnie.

Szedł przyśpiewując nawet, tak uroczo było na świecie. Jeszcze nigdy nie widział tu tylu ptaków różnokolorowych, nie słyszał tylu przeróżnych śpiewów. Zdawać się mogło, że koncert urządzały te cudne ptaszęta, że jakaś wielka u nich obchodzona była uroczystość.

Papug było wielkie mnóstwo. Przelatywały nad nim, dotykając prawie różnokolorowem pierzem, ale, ile razy Robinson chciał złapać którego z ptaków, uciekał tak zręcznie i szybko, że ani myśleć było o dogonieniu.

— Czekajcie! znajdzie się i na was sposób... niech tylko tu się rozejrzę, znajdę wasze gniazda, a będziecie moje, miłe ptaszęta — myślał Robinson.

Naraz ujrzał stado upragnionych zwierzątek, pasły się opodal, ani myśląc o grożącem im niebezpieczeństwie.

Robinson ukrył się za gęstym krzewem i ze sznurkiem w ręku oczekiwał ich zbliżenia.

Jedna z lam odłączyła się od stada i zajadać poczęła rosnącą tuż u krzaku trawkę.

— Mam cię! — pomyślał Robinson i tak zręcznie zarzucił sznur na szyję biednego zwierzątka, że ani kroku ku ucieczce nie mogła wykonać.

Wyskoczywszy zza krzaka uprowadził swą lamę, gdy naraz, cóż za zdziwienie i radość!.. Dwa jagniątka, widocznie dzieci uwięzionej, w podskokach biedz zaczęły

za uwięzioną matką. Nie wiedząc i nie rozumiejąc, że lamie stała się krzywda, lizać ręce Robinsona poczęły, i szły obok niego, jak oswojone pieski.

— Nie bójcie się — mówił uradowany Robinson — nic się ani waszej matce, ani wam nie stanie, będziecie pod dobrą opieką, jeść i pić będziecie miały poddostatkiem...

Małe stadko przywiedzione przez Robinsona do groty, uwiązano u drzewa na tymczasem, z czego korzystając jagniątka zaczęły się zaraz posilać smacznem mlekiem lamy.

Ponieważ było już późno, nasz myśliwy, naznosił swym zwierzątkom świeżej trawy i wody, poczem bardzo znużony ułożył się do snu.

Spał mocno godzin kilka, naraz huk straszliwy go obudził.

Wskoczył przerażony i cóż widzi? Straszliwe huki rozdzierają powietrze, wyrzucają kamienie do góry, wyrywają krzewy, a niebo zasnute chmurami, coraz to błyskawicami przerżnięte... Cala grota trzęsie się jak do upadku, przerażone lamy uciekają becząc żałośnie, a ziemia drży cała i morze falami swemi rzuca się i miota i jakby jęk z głębi wydobywa.

Robinson zrozumiał jakie mu groziło niebezpieczeństwo, wiedział, że w gorących krajach i na wyspach wulkanicznych trzęsienie ziemi obraca w ruinę wszystko. Biegł więc jaknajdalej od swego zamieszkania, a za nim strwożone zwierzątka. Kierował się ku górze, na którą skryć się pragnął, gdy naraz, cóż widzi?.. Góra rozdziera się na dwoje, a z wewnątrz wybuchają płomienie, popiół,

piasek; gruzy, a ponad tem wszystkiem dym unosi się gęsty, a lawa całą jakby rzeką zalewa rośliny, krzewy i ku grocie naszego rozbitka już pędzi.

Obejrzał się po za siebie Robinson — ani lam ani groty nie widzi... Wszystko, wszystko zniszczone! Wdrapał się na drzewo i nad możliwością utraty życia rozmyślał.

A wokoło rozlewała się lawa, huczały pioruny, niebo rozdzierały błyskawice... Robinson wtulił głowę w liście rozłożystego drzewa i czekał końca.

Ale Bóg miłosierny ulitował się nad swym biednym tworem; przytulonemu do liści, drżącemu z przerażenia ukazał promy czek jasnego nieba i uciszył huragan.

Zaświtało. Robinson zszedł z drzewa i kierować się począł ku grocie. Co ujrzy? Zniszczenie zapewne i śmierć swych ukochanych zwierzątek.

Cóż jednak za radość! Oto lama ze swemi maleńkiemi biegnie ku niemu i radosnym go wita bekiem. Liżą mu ręce, cieszą się wzajemnie i prowadzą do groty. O, dziwo! grota caluteńka, oderwał się tylko szczyt skały i gdyby Robinson nie uciekł wtedy i spał w dalszym ciągu, zabiłby go napewno.

Jakżeż dziękował Bogu, jakżeż korzył się przed Nim, widząc cud nad sobą zdziałany. Oto ma znowu swe drogie lamy, ma kącik, który po naprawieniu szczytu, służyć mu lata całe może...

Ale co stało się z polem zasadzonem kartoflami? Pewnie deszcz ognisty wybuchły z góry zalał pole i pozbawił go tego wspaniałego dodatku do mięsa...

I to mu pozostało. I to nietknięte! Czemprędzej nakarmił

swoje miłe zwierzątka, sam się pożywił i rozpoczął odwalać kamień, który wpadł do groty i zajmował mu całe prawie schronienie. Przy pomocy drągów wysunął po za otwór na drogę, dach zaś przykrył drzewem i mnóstwem siana i gałęzi, poczem spojrzał na górę. Dym jeszcze wychodził, ale cicho było wokoło i pogodnie. Niebo błękitem swym radowało serce Robinsona, ptaki zabawiały go swym szczebiotem, a widok ocalonych zwierzątek podnosił myśl jego do Stwórcy, Który to wszystko dał i zachował.

Wyszedłszy poza górę spostrzegł mnóstwo ślicznie opierzonych papużek, które jak zauważył, wylatywały wciąż z poza jednego, krzaku. Podbiegł do niego i zobaczył dużo łebków papuzich, złapał jedną ptaszynę, reszta zaczęła uciekać.

Dziobem i pazurkami broniła się papuga, ale na nic się to zdało, Robinson zaniósł do domu i umieściwszy ją w koszyku karmił kukurydzą i tem, co sam spożywał — jadła wszystko ze smakiem i przyzwyczaiła się bardzo prędko do tego nowego życia. Robinson cieszył się z tej nowej współmieszkanki, tembardziej, że biedny pająk, którym się tak opiekował, zginął podczas trzęsienia ziemi.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ V.

Zbieranie zapasów na zimę. — Uszycie ubrania ze skór. — Choroba Robinsona po porze deszczowej.

Po kilku dniach dym z góry zaprzestał wychodzić. Robinson zajrzał do otworu i przyszła mu myśl, czyby nie spożytkować tego otworu na piwnicę do przechowywania mięsa.

Nadało się to najzupełniej. Robinson wyruszył na polowanie i upolowawszy dziewięć dużych lam, odarł ze skóry i

wyrznąwszy mięso uwędził je i przechował na czas zimowy w piwnicy.

Lamy nie zbliżały się już tak do niego, jak dawniej, zauważyły widocznie utratę swych towarzyszek i zrozumiały, że i je los ten sam może spotkać. Uciekały przed Robinsonem, gdy uzbrojony w swą kamienną siekierkę czatował na zdobycz. Wziął się tedy na sposób i wykopał dół w miejscu, gdzie zwierzęta te widywał najczęściej. Biedne lamy wpadały w dół i nie mogąc się z niego wydostać, zabijane były przez Robinsona. W ten sposób piwnica była pełna mięsiwa i spokojnie czekać było można na zbliżającą się, jak się zdawało Robinsonowi, zimę.

Tymczasem postanowił sobie zrobić ubranie, był bowiem

odarty jak nędzarz, nawet i koszuli nie posiadał, gdyż zawiesił jej szczątki nad brzegiem morza, na wzgórzu, z napisem w języku francuskim i angielskim: „Wyspę tę zamieszkuje człowiek“. Jakżeż żałował, że tylko w tych językach mógł to napisać! Czemuż nie chciał się uczyć?!...

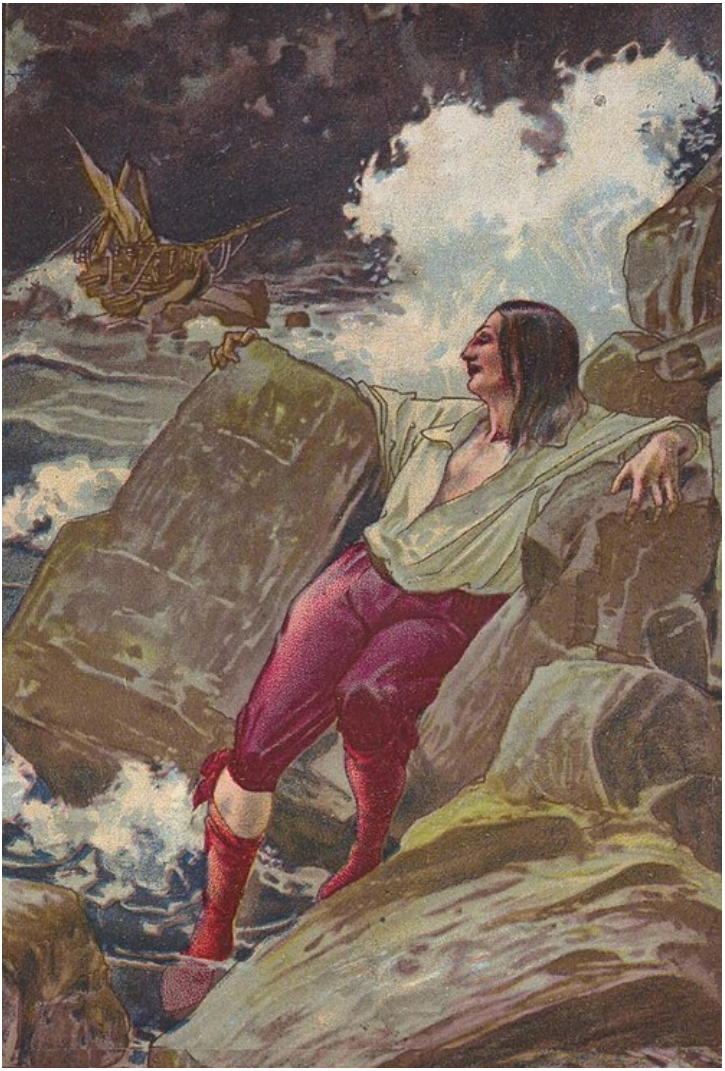

Ubranie ze skór zwierzęcych uszył w ten sposób, że ością od ryb robił otwory i zczepiał jeden kawałek z drugim za pomocą włókien.

Po uszyciu przejrzawszy się w strumyku, wybuchnął śmiechem. Ach! jakże dziwnie wyglądał! Gdyby go rodzice

ujrzeli, nie poznaliby napewno...

Ale wszak chodzić jak murzyni bez ubrania nie mógł. Pocięłyby go zjadliwe komary i muchy, wreszcie nieprzyzwyczajony był do takiego chodzenia bez odzieży.

Czekał teraz spokojnie na zimę, dziwiąc się, że już koniec października, a pogoda wciąż jednako piękna i upały nie do wytrzymania.

Ale razu pewnego, gdy wstał rano, po dniu ślicznej pogody, ujrzał potoki wody przed grotą i deszcz ulewny, który trwał dzień cały i przez parę miesięcy padać nie ustawał.

Straszne to były miesiące dla Robinsona. Bezczynnie siedział w swej grocie, co czas jakiś tylko karmiąc swoje lamy, lub przyrządzając dla siebie pożywienie.

Z nudów zaczął wyrabiać z gliny różne miski i garnczki i wysuszać je w swym stosie utrzymującym ogień. Dużo popękało, dużo potłukło się, ale Robinson doszedł wkońcu do tej doskonałości, że przybrały formę właściwą garnkom i były mu użyteczne.

Po dwóch miesiącach Robinson z radością ujrzał znów błękit nieba i śpiewające ptactwo, a sądząc, że teraz właśnie nastąpi zima, zdziwił się ogromnie, widząc, że powraca znów upalne lato, a zimą były widocznie owe dni ulewy.

Ucieszywszy się tem odkryciem zabrał się do roboty naczyń kuchennych, zrobił lampkę, napełnił ją tłuszczem zabitej lamy i zapalił. Ale lampka pękła natychmiast, wykazując brak czegoś koniecznego do trwałości naczynia.

Naraz, gdy rozmyślał nad ulepszeniem swych glinianych wyrobów, poczuł drżenie wszystkich członków i ból silny

głowy.

— Boże! jestem chory, co pocznę! — zawołał Robinson przerażony.

Dreszcze wstrząsać nim poczęły tak silnie, że zmuszony był dowlec się do posłania i położyć.

Dorzuciwszy jeszcze z wielkim trudem kilka kawałków drzewa do ognia, postawił przy posłaniu skorupkę żółwią napełnioną wodą i położył parę cytryn do orzeźwienia się. Oto wszystko co miał na swój ratunek! A przytem ani matki, któraby ochładzała rękami jego rozgorączkowane czoło, ani ojca, któryby przykrył ciepłemi kołdrami zlodowaciałe jego członki... Biedny, biedny Robinson!

Gorączka była tak silna, że chory stracił przytomność. Zdawało mu się, że jest w domu, że pielęgnuje go matka, że ojciec daje mu jakieś lekarstwa. To znów rzucał się na swem nędznem posłaniu, pewny będąc, że jest na morzu, że straszliwa burza wyrzuca go na brzeg morski. Wydawał przytem różne okrzyki i jęki, które w pustce tej rozlegały się daleko i przerażały nawet leżące u stóp jego lamy. Nad ranem gorączka się zmniejszyła. Obezsilony dorzucił drzewa, wypił wody z cytryną i dowlókłszy się do posłania, ułożył się do snu.

Ale sen nie przychodził. Okropny ból głowy i wznawiająca się ku wieczorowi gorączka odebrała mu sen i siły. Był tak słaby, że zaledwie zdołał położyć się twarzą ku skale i oczekiwać śmierci.

W tej ostatniej jednak, jak mu się zdawało, chwili, Robinson miał na tyle jeszcze świadomości, że myślą podziękował Bogu — za wszystkie dobrodziejstwa,

pożegnał wspomnieniem swych ukochanych rodziców i ułożył się pogodzony z wyrokami niebios, aby życie na tej wyspie bezludnej zakończyć.

Nie cierpiał już wcale. Gorączka odebrała przytomność. Blady śmiertelnie, z rękami założonemi na piersiach, leżał cichy, bez ruchu na swem łożu z traw i zdawał się już być umarłym.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

CZĘŚĆ III.

ROZDZIAŁ I.

Wyzdrowienie — Utrata ognia — Rozpacz — Odkrycie drzew kakaowych i chlebowych — Zamiar zbudowania okrętu — Ślad stopy ludzkiej — Przerażenie.

ROZDZIAŁ II.

Zabezpieczenie się od dzikich — Uczty ludożerców — Ucieczka jednego z jeńców — Robinson wybawca.

ROZDZIAŁ III.

Jeniec okazuje się użytecznym — Rozniecenie ognia, przez tegoż — Pierwszy rosół ugotowany z lamy.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ I.

Wyzdrowienie — Utrata ognia — Rozpacz — Odkrycie drzew kakaowych i chlebowych — Zamiar zbudowania okrętu — Ślad stopy ludzkiej — Przerażenie.

Nadszedł ranek, dzień na dobre się rozpoczął, a Robinson leżał wciąż nieruchomy i zdawał się nie żyć.

Lamy leżące tuż przy stogu siana, co mogły wyskubać z głodu, już wyjadły. Jedna z nich, zdziwiona grobowem milczeniem, jak również tem, że pan ich nie pamięta o pokarmie dla nich i wodzie, jakto było jego zwyczajem, podniosła się i zbliżywszy się do Robinsona zaczęła mu lizać ręce, inne zwierzątka poszły też za jej przykładem. Na skutek tego Robinson drgnął i życie zdawało się doń wracać. Otworzył oczy, rozejrzał się wokoło, jakby chcąc się przekonać gdzie jest.

Głęboki sen wrócił mu przytomność, omdlenie minęło, tylko czuł się zupełnie bez sił i bez możności wstania.

Ugasiwszy pragnienie cytryną, usnął znowu. Obudziwszy się pod wieczór, uczuł się zupełnie zdrowym. Poczciwe lamy przyglądały mu się uważnie, jakby zapytując go, dlaczego tak wciąż leży i o nich zapomina. Robinson napił się mleka i wzmocniony tym ożywczym napojem, zasnął znowu. Rano uczuł głód, ale jednocześnie miał już dość siły aby wstać i wyjść z groty.

Napoiwszy swe lamy, które na szczęście, tak jak i wielbłądy mogą żyć dłuższy czas bez wody, wziął z sobą

kawał wędzonego mięsa, zapił wodą źródlaną i uczuł się o wiele silniejszym.

O, jakżeż się cieszył Robinson każdym promykiem słońca, którego nie spodziewał się już ujrzeć, każdym kwiatkiem i trawką,

Świat zdał się mu stokroć piękniejszym i droższym dla niego, jak przed chorobą, poznał wartość życia, na które nieraz wyrzekał i postanowił nie szemrać nigdy i z wolą Bożą się godzić.

Po paru godzinach stan zdrowia Robinsona poprawił się o tyle, że mógł wziąć się do roboty i obejrzeć swe gospodarstwo. Zbliży wszy się do ogniska, wydał okrzyk rozpaczy. Ani jednej, jedynej iskierki, nic nie pozostało z tak mozolnie utrzymywanego stosu!

Zrozpaczony myślał o tem, że teraz właśnie, gdy tak jest wycieńczony, nie będzie miał gorącego pożywienia i tylko zimnem mlekiem i owocami żywić się będzie zmuszony.

Mając nieźle już sfabrykowane naczynia, postanowił zrobić użytek z mleka lamy i zrobić masło.

Ubił w jednem z naczyń, ale wnet zrozumiał, że i ten produkt bez ognia nie zda się na nic.

Bo i z czemże jeść będzie to wyborne masełko?

Ogień zagasł, na czemże ugotuje kartofle, które mu zastępowały pieczywo!

Zjadł je w końcu z kawałkiem wędzonego mięsa, ale smaku w tem nie było żadnego.

Jakżeż ciężkiem wydało mu się teraz życie bez ognia! Biedny Robinson pocieszał się tylko nadzieją i towarzystwem lam, które przywiązały się do niego bardzo i

nie chciały go opuszczać ani na chwilę.

Znienawidziwszy lenistwo, które stało się powodem jego rozstania się z rodzicami i doprowadziło go do tak opłakanego stanu, Robinson ani chwili nie chciał próżnować.

Nie mając obecnie niczego ważniejszego do roboty, postanowił zbudować statek, marząc o tem, że kiedyś może przyjechać ktoś, z kim powróci razem do ukochanej Marsylji.

Podtrzymywany tą nadzieją, wziął Robinson swoją siekierę kamienną i wyruszył do lasku po drzewo.

Rozglądając się wokoło spostrzegł dziwnie wysokie kłosy napełnione dużemi żółtemi ziarnami. Przekonał się, że to była kukurydza, która mogła mu służyć i do jedzenia na surowo i na mąkę. Nabrał jej dużo, utrwalając w pamięci miejsce, gdzie się znajdowała w bardzo dużej ilości.

Dalej trochę spostrzegł szerokie, średniej wielkości drzewo, na którem wisiały oryginalne owoce. Były to strąki zawierające z sześćdziesiąt ziarn, kształtu fasoli.

Spróbowawszy, uznał je za gorzkie, ale jednocześnie zrozumiał, że z tego owocu może mieć korzyści i zapamiętał, gdzie rosło owo drzewko. Było to drzewo kakaowe, z którego wyrabiać poczęto czekoladę; w czasach tych, kiedy żył Robinson nie znano jeszcze tej rośliny, a więc i czekolady.

Trzeciem odkryciem było zauważenie dużego drzewa o owocach wielkości i kształtu kokosowego orzecha. Spróbowawszy owocu, Robinson uznał go za smaczny, a co najważniejsze, za bardzo przypominający chleb, którego tak

łaknął.

Nagle przyszła mu do głowy myśl pewna. Czyby z tego właśnie drzewa nie zbudować statku?..

Drzewo było olbrzymie i bardzo stare, z jednej strony nawet spróchniałe, zdałoby się na budowę napewno. Ale szkoda wybornych owoców, które służyćby mu mogły za chleb. Było to tak zwane drzewo chlebowe, o którem czytał niegdyś Robinson w opisach podróży, drzewo miało bardzo wielkiej objętości pień, a że było stare, łatwo pewnie uda się je zrąbać. Myśl ta zajęła go całkowicie, ale postanowił jeszcze nad tem pomyśleć, co lepsze, czy owoce czy drzewo.

Na drugi dzień przyszedł ze stanowczym zamiarem zrąbania drzewa, przyniósł swoją kamienną siekierę i zdawało się, że zrąbie je zaraz. Trafił jednak na niespodziany opór. Drzewo było bardzo twarde a siekiera za tępa. Rąbał Robinson i rąbał, i dopiero po kilku godzinach pracy zarysowały się na drzewie uderzenia siekiery.

Minęło parę tygodni zanim Robinson zdołał przerąbać drzewo do połowy

Pewnego dnia, znużony nad miarę postanowił wybrać się dla rozrywki w okolice swego zamieszkania. Trzy lata już tutaj przebywał, a nie znał jeszcze całej wyspy. Obliczył, patrząc z wysokiej góry naokoło, że cała wyspa ma jakieś dziesięć mil w obwodzie i że kilka dni starczy na jej okrążenie i zwiedzenie. Uwiązał więc na grzbiecie lamy koszyki z jedzeniem i wyruszył wczesnym rankiem, pełen nadziei, że może odkryje coś nowego i pożytecznego.

Idąc spostrzegał mnóstwo drzew obciążonych

przepysznemi owocami i uspokajał się tem, że nie zamrze tu z głodu, jednocześnie zauważył, że droga, którą szedł była o wiele bogatsza w roślinność i owoce od miejscowości, którą przeznaczył na przebywanie stałe po rozbiciu się okrętu.

Przeszedłszy trzy mile, czuł się zmęczonym, wreszcie i noc go zaskoczyła, wdrapał się więc na drzewo i usnął. Lama ułożyła się pod drzewem.

Nazajutrz, po przebudzeniu, trafił idąc na grunt piaszczysty, i nagłe o, Boże! cóż zobaczył?...

Przed nim, na piasku najwyraźniej zarysował się ślad ludzkiej stopy...

Robinson zbladł, nogi się pod nim ugięły, blizki był zemdlenia.

Spokój jego, radość z odkrycia różnych pożytecznych drzew i owoców, pierzchła natychmiast.

Zrozumiał, że na wyspie tej są dzicy ludzie, że wynajdą go, zamordują, a może i zjedzą. Cały drżący przyglądał się stopie odciśniętej na piasku i ani na chwilę nie wątpił, że to ślad ludzkiej stopy.

Odszedł dalej, ale widok, jaki, mu się przedstawił był tak przerażający, że ruszyć się z miejsca nie był w możności.

Na środku polanki, paliło się ognisko, obok którego leżały porozrzucane części ciała ludzkiego, nogi, ręce, piszczele i kości ogryzione przez dzikich ludożerców.

Zrozumiał Robinson, że powinien stąd jaknajdalej uciekać, ale pędząc co sił nie był pewnym, czy nie natrafi na dzikich. Nie znał dobrze wyspy i mógł zamiast iść w stronę swej groty, kierować się ku ludożercom.

Szedł więc wciąż brzegiem morza i natrafił na łąkę, odległą jeszcze bardzo od groty, ale stanowczo do niej, nie gdzieindziej prowadzącą.

Odpocząwszy trochę, naraz z ogromnem przerażeniem posłyszał wymówione nad głową zdanie: Robinsonie, ach! biedny Robinsonie!

Zdziwiony i przestraszony oglądał się naokoło, nie dorozumiewając się kto mówił. Wtem spostrzegł swą papugę, której sprzykrzyło się siedzieć samej i przyleciała szukać Robinsona na łące, na której nieraz Robinson kosił trawę dla lamy.

Wyuczyła się tego zdania od niego samego, często bowiem powtarzał to w smutku i zniechęceniu. Usadowiła się teraz na ramieniu Robinsona i wciąż powtarzała to jedno, jakby pocieszając go i nad nim się litując.

Noc zapadła. Robinson usnął na drzewie, ale sen miał wciąż niespokojny i krótki. Rozmyślał nad tem, żeby zniszczyć całą swoją zagrodę, ślad swego istnienia zatrzeć zupełnie i kryć się w jakiejś grocie, żywiąc się owocami i wodą.

W ten sposób — pomyślał Robinson — będę bezpieczniejszy i może dzicy ludzie nie odkryją mojej tu obecności.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ II.

Zabezpieczenie się od dzikich — Uczty ludożerców — Ucieczka jednego z jeńców — Robinson wybawca.

Myśląc o tem, usnął nad ranem, a gdy się przebudził, czuł się pokrzepionym na duchu i wszelkie obawy i postanowienia zniszczenia swego dobytku zdały mu się nierozsądne i śmieszne.

Skierował się ku swemu domowi, ciesząc się, że ta część wyspy, którą zajął, nie jest tak obfitująca w owoce i roślinność, gdyż z tego właśnie powodu nie wyładowywali tam dzicy, wyszukując urodzajniejszej i suchszej dla uczt swych ziemi.

Postanowił wróciwszy do domu, wzmocnić swą grotę, podkopując podziemne przejście, aby w razie najścia dzikich módz skryć się na czas pewien.

Rozpoczął tę mozolną pracę, ulepszając coraz bardziej swój pomysł i doszedł do tego, że pobudował podziemia, w których mógł skryć się w razie potrzeby z lamą i zapasami żywności.

Przetrwało tak lat kilka bez nowego najścia ludożerców, gdy naraz pewnego dnia zauważył dym unoszący się ponad drzewami, a gdy wszedł na wierzchołek, z przerażeniem ujrzał straszne i niezapomniane widowisko.

Pięć łodzi przytwierdzonych do brzegu a niedaleko od morza koło wielkiego ogniska wielka liczba dzikich tańczyła, wydając okropne krzyki.

Oddaleni byli os Robinsona o jakieś tysiąc kroków, niebezpieczeństwo więc było ogromne. Robinson wyruszył czemprędzej z powrotem do swej groty aby być gotowym w razie napadu do obrony, a zobaczywszy, że wszystko w należytym porządku, wrócił na swe obserwacyjne miejsce i ze zgrozą przyglądał się mordercom. Powoli ogień zagasał, dzicy przestali tańczyć i wydawać okrzyki, garstka zaś okrutników skierowała się ku łodziom, jakby na poszukiwanie czegoś.

W chwilę potem Robinson ujrzał tychże dzikich wlokących za sobą ludzi. Byli to nieszczęśliwi przeznaczeni na zamordowanie i zjedzenie przez ludożerców.

Robinson zaledwie zdołał powstrzymać okrzyk grozy i litości, tak strasznie przejęło go to widowisko.

Dzicy rzucili się na jednego z jeńców, udusili go i wśród okrzyków radości szarpać poczęli zmarłego, przygotowując go na ucztę.

Czekający na podobną śmierć drugi z jeńców, widząc, że wrogowie jego nie zwracają na niego uwagi, rzucił się do ucieczki.

Pędząc jak strzała kierował się wprost ku siedzibie Robinsona, który przerażony tem stał opodal, wiedząc dobrze, że w ten sposób odkrytą będzie jego grota a on zamordowany.

Postanowił jednak, ze względu na to, że szło tu o ludzką istotę, ratować nieszczęśliwego i od dzikich się bronić.

Jeniec pędził co siły, ale ludożercy zauważyli wkrótce jego ucieczkę i wysłali dwóch z pomiędzy siebie aby go złapali i do ogniska przywiedli.

Dwóch dzikich nie mogło go dogonić, jeniec biegł wprost na Robinsona, a zobaczywszy go, okrytego skórami od stóp do głów, sądził, że to jakiś bożek leśny, który, być może, weźmie go w obronę i dzikich barbarzyńców od niego odstraszy.

Robinson widząc zbliżających się ludożerców, postanowił bronić się do ostatka.

Rzucił się na jednego z nich i uderzeniem siekiery powalił go na ziemię. Drugiego spotkało toż samo, gdy napinał łuk, aby puścić strzałę na Robinsona.

Uspokoiwszy się co do tego, że ci dwaj nie wydadzą go napewno, wrócił przed grotę, gdzie wyratowany przez niego jeniec rzucił mu się do nóg i całując je szeptał w nieznanym Robinsonowi języku wyrazy dziękczynienia i wdzięczności.

Aby zatrzeć ślady walki, które mogłyby ucztujących dzikich doprowadzić do mieszkania Robinsona, jeniec zakopał ciała ludożerców i znów z wielkiej radości zaczął tańczyć i dziękować swemu wybawcy za ratunek.

Ponieważ dzicy nie odjeżdżali jeszcze na swych łodziach, oczekując powrotu dwóch wysłanych za jeńcem, Robinson dał łuk ze strzałami swemu gościowi przygodnemu, sam uzbroił się również, oczekując najścia dzikich.

Jeniec oswobodzony przez Robinsona, ukląkł w krzakach i z wymierzonym ku ognisku lukiem oczekiwał nieprzyjaciela.

Lada chwila mogła cała ta dzika gromada znaleźć się w siedzibie Robinsona. Z zapartym oddechem oczekiwali tej

chwili, będąc wciąż gotowi do obrony.

Naraz rozległ się krzyk jeden i drugi, potem bieg szybki ku brzegom i cisza.

Dzicy nie doczekawszy się jeńca i dwóch wysłańców, spożywszy swą ohydną ucztę, wsiedli do łodzi i odjechali.

Zobaczywszy to Robinson zaprowadził swego gościa do groty, aby go pożywić, poczem przezwał go Piętaszkiem, od Piątku, w którym się ta cała przygoda zdarzyła i kazał mu nanieść mchu i trawy do piwnicy i do snu się ułożyć.

Obawiał się zdrady ze strony dzikiego i z tego powodu nie wziął go ze sobą na noc do groty.

Przed położeniem się do snu, Robinson schował pod posłanie łuk, strzały i siekierę, aby módz się w razie potrzeby czem bronić.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ III.

Jeniec okazuje się użytecznym — Rozniecenie ognia, przez tegoż — Pierwszy rosół ugotowany z lamy.

Nazajutrz, po długim śnie, spowodowanym okropnemi przejściami dnia poprzedniego, obudził się Robinson z myślą, że Piętaszek napewno zeszedł do podziemi, zabrał broń i uciekł, aby na niego naprowadzić wrogów.

Omylił się bardzo. Gdy wszedł do piwnicy zobaczył swego gościa uśmiechającego się ze stogu siana, w którym się ułożył.

Po wydojeniu lamy i napiciu się mleka, wyruszył Robinson wraz z Piętaszkiem na miejsce ohydnej uczty dzikich.

Piętaszek gestami pełnemi prośby, pokazując na wzgórze usypane nad dwoma ścigającymi go wczoraj ludożercami, zapytywał Robinsona, czyby nie można ich wykopać i zjeść na obiad.

Ale Robinson z takiem obrzydzeniem i wstrętem odpowiedział mu na tę prośbę, że Piętaszek zawstydzony spuścił głowę, nie rozumiejąc jednak, dlaczegoby nie można było wyprawić sobie uczty zwycięskiej z ciał dwóch niegodziwych wrogów.

Przybywszy na miejsce wczorajszych zabaw i tańców dzikich, Robinson stanął przerażony. Szczątki ludzkie leżały w popiele, kości porozrzucane koło zagaszonego ogniska bieliły się wśród poopalanych traw...

Blady, z grozą na twarzy, ruchami wymownemi wskazywał Piętaszkowi, że trzeba pogrzebać te resztki ludzkie.

Nachyleni w ciszy głębokiej nad tem ogniskiem śmierci, popodnosili z ziemi kawałki okrwawionych jeszcze szczątków ludzkich i poukładali je w dole przez Robinsona wykopanym, aby, zwyczajem chrześcijańskim spoczęły w ziemi.

Duże łzy spływały z oczu poczciwego Piętaszka, gdy grzebał resztki cielesne swego towarzysza. Może kochał go bardzo, a może plącząc myślał o losie, jaki go miał wczoraj spotkać...

Robinson patrzał z radością na ten objaw dobrego serca u Piętaszka, a przyglądając się popiołom, rozgrzebywał je, mając nadzieję, że znajdzie jaką małą iskierkę, która mu ogień roznieci.

Westchnął ciężko, widząc, że palenisko wygasło i zabierał się ku odejściu.

Piętaszek, obserwując każdy ruch Robinsona, zrozumiał o co mu chodziło. Wydawszy okrzyk radości, porwał siekierę i rzucił się ku stojącemu opodal drzewu.

Robinson, zawsze jeszcze obawiający się zdrady, złapał dzidę i rzucił się za Piętaszkiem.

Chce mnie zdradzić! — wyszeptał — wraca do dzikich i naprowadzi na mnie, aby zamordować.

Ale zanim dobiegł do lasku, ujrzał Piętaszka pędzącego naprzeciwko niemu z radosnemi okrzykami i z pękiem trawy palącej się płomieniem.

Robinson patrzał na to zdziwiony, a gdy Piętaszek,

rzuciwszy tlącą trawę na ziemię, dorzucił drzewa i płomień wybuchł radośnie, rzucił się na szyję chłopca i całował go i ściskał tak silnie, że Piętaszek, nie przyzwyczajony do podobnych oznak wdzięczności, nie mógł pojąć cobyto znaczyło.

Radość wyryta na twarzy Robinsona udzieliła się i Piętaszkowi. Szczęśliwy był ogromnie, że panu swemu i wybawcy zrobił tę nieocenioną przysługę.

Robinson zaciekawiony zdobyciem ognia przez chłopca, zapytał go gestami w jaki sposób doszedł do otrzymania ognia.

Piętaszek wytłomaczył mu, że urąbał kawałek drzewa bardzo twardego i kawałek najmiększego z drzew rosnących na wyspie i że jeden o drugi pocierał, z czego wydobyły się iskry. Iskry rzucone na suchą trawę wywołały ogień.

Wróciwszy do groty, Robinson czemprędzej rozniecił ogień w swej kuchni, potem zarznął jedną z młodych lam ze swego zwiększonego już stadka i wyrznąwsy najlepszy kawałek kazał Piętaszkowi obracać na rożnie aż do upieczenia.

Mając już na czem ugotować, Robinson postanowił spróbować rosołu, którego od czasu rozbicia się okrętu nie jadał.

Włożył więc kawałek lamy do garnka, zalał wodą, dołożył włoszczyzn, kartofli, garść soli i postawił na ogniu.

Piętaszek przyglądał się wszystkiemu z ogromnem zdziwieniem. Nie widział nic podobnego. Był pewnym, że gotuje się jakiś czarodziejski napój i gdy mu Robinson nalał

do miski, aby spożył, pił go z namaszczeniem, rozmyślając nad tem, jaka zmiana w nim zajdzie po wypiciu tego napoju.

Mięso lamy smakowało mu bardzo i przestał już myśleć o spożywaniu ludzi; wstręt, jaki okazał jego wybawca na prośbę jego aby wykopać i zjeść zabitych wrogów, pozostał mu w pamięci na zawsze, a smaczne potrawy Robinsona kazały mu zapomnieć « dawnem obrzydliwem pożywieniu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

CZĘŚĆ IV.

ROZDZIAŁ I.

Szczęście Robinsona z powodu towarzystwa Piętaszka. — Ufortyfikowanie groty. — Utkanie nowej odzieży. — Nawracanie Piętaszka. — Tęsknota obu rozbitków za ojczyzną. — Budowa lodzi. — Deszcze zimowe na wyspie.

ROZDZIAŁ II.

Próba z łodzią. — Wpadnięcie z łodzią w wir morski. — Przestrach i zwątpienie Piętaszka. — Ufność Robinsona. — Ocalenie i powrót na pożegnaną już wyspę. — Pobyt dalszy na niej. — Projekt wyruszenia do krainy Piętaszka po jego ojca. — Burza i huk kuli armatniej. — Oderwanie się łodzi od brzegu. — Rozpacz Piętaszka.

ROZDZIAŁ III.

Odkrycie okrętu przez Robinsona — Odwaga Piętaszka — Dopłynięcie Piętaszka do okrętu — Pierwsze powitanie przez psa — Przerażenie z powodu

nieznanego zwierzęcia — Ucieczka — Towarzyszenie psa — Zemdlenie Piętaszka — Rozpacz Robinsona.

ROZDZIAŁ IV.

Budowanie tratwy — Dopłynięcie do okrętu — Rozglądanie się w zapasach — Wojownicza koza nakarmiona — Wybieranie przez Robinsona rzeczy najpotrzebniejszych — Przebranie się w europejskie suknie — Przestrach Piętaszka z powodu strzelania przez Robinsona.

ROZDZIAŁ V.

Zabranie potrzebnych rzeczy z okrętu — Przewiezienie na wyspę — Powrót do okrętu, zabranie klejnotów — Burza na morzu — Robinson w niebezpieczeństwie — Ocalenie Robinsona przez Piętaszka — Zbudowanie domku, wozu, obsiewanie pola grochem, jęczmieniem i pszenicą.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ I.

Szczęście Robinsona z powodu towarzystwa Piętaszka. — Ufortyfikowanie groty. — Utkanie nowej odzieży. — Nawracanie Piętaszka. — Tęsknota obu rozbitków za ojczyzną. — Budowa lodzi. — Deszcze zimowe na wyspie.

Robinson był teraz zupełnie na swej wyspie szczęśliwy. Brakowało mu dawniej towarzystwa, teraz miał je wciąż i to takie miłe i dlań życzliwe.

Piętaszek kochał bardzo Robinsona. Był to chłopak bardzo roztropny i wdzięczny, każda rzecz go cieszyła, każde dobre słowo napełniało go wielką wdzięcznością.

Cóż to była za radość, gdy Robinson, widząc, że mu może w zupełności zaufać, pozwolił posłać do snu Piętaszkowi w grocie, tuż obok swego posłania. Tańczył, skakał jak dziecko z radości i w przeróżny sposób okazywał swe zadowolenie.

Gdy nastały tygodnie deszczowe, Robinsonowi nie wydawały się już tak długiemi, jak lat poprzednich. Miał teraz towarzysza, z którym mógł rozmawiać i pracować, który ciemne i chłodne dni rozjaśniał mu swem przywiązaniem i rozmową. Piętaszek bowiem nauczył się już dobrze mówić, w języku Robinsona, rozumiał co mu tenże opowiadał i nieźle już wypełniał jego polecenia.

W dni te pochmurne i smutne, siadali przy lampce w swojej grocie i pletli koszyki, tkali tkaninę na ubranie i

rozmawiali.

Robinson podziwiał rozsądek Piętaszka i z przyjemnością z nim obcował.

Razu jednego, gdy deszcze już padać ustały i niebo rozjaśniło się trochę, Piętaszek, wskazał na widniejący zdała czarny punkcik, z rozrzewnieniem wołając do Robinsona, że to jego ukochana ojczyzna.

Przykro było Robinsonowi widzieć jego radość, gdy opowiadał o swym starym ojcu i kraju rodzinnym, na pytanie jednak, czy wróciłby do domu, Piętaszek odpowiedział bez namysłu, że pojechałby tylko zobaczyć rodzinę, ale natychmiast powróciłby do Robinsona z powrotem.

Robinson, coraz bardziej przeświadczony o wierności swego współtowarzysza, przywiązywał się coraz silniej i z rozpaczą myślał o możliwem kiedyś rozstaniu.

Przebyli tak czas jakiś ze sobą, obaj zadowoleni ze siebie i prześcigający się w sprawianiu sobie przyjemności, gdy razu pewnego Robinsonowi przyszła myśl, aby biednemu dzikiemu, nie mającemu pojęcia o Bogu prawdziwym wyłożyć artykuły wiary chrześcijańskiej i skłonić go do uznania tej nauki za zbawienną.

Pewnego więc wieczora, gdy po całodziennej pracy i po ugotowaniu kolacji, zasiedli na matach aby wypocząć i porozmawiać, Robinson zaczął pytać Piętaszka w co wierzy i do kogo się modli.

Na pytanie to nie zaraz odpowiedział. Zastanawiał się nad znaczeniem słów Robinsona i dopiero gdy ten ponownie zapytał, kto świat stworzył i nim się opiekuje, kto

zawiesił nad ziemią cudny błękit nieba i utkał go gwiazdami, kto dał ludziom morze, rośliny i zwierzęta, kto wreszcie stworzył człowieka — odpowiedział Piętaszek:

Wiem, panie, uczył nas tego jeden poważny i najmędrszy z naszego plemienia, że to wszystko stworzył i wszystkiem co jest na ziemi opiekuje się Tupan.

— Cóż to za istota ten Tupan? Przyznam się tobie, że go nie znam i o nim nie słyszałem — odpowiedział mu Robinson.

— Jakto? — zdziwił się Piętaszek — wszak przed nim klękasz i modlisz się jak wszyscy ludzie na świecie. Nieprawdaż?

— Bynajmniej, nie znam tego Tupana, któż to taki?

— To człowiek najstarszy, który jest wciąż od wieków i który wie, widzi i słyszy wszystko, nawet myśli nasze przenika. Mnie i ciebie on stworzył. Od niego mamy wszystko, co nas otacza i on zsyła na nas grzmoty, pioruny i błyskawice...

— Gdzież jest ów Tupan?

— Ma pałac olbrzymi na wysokiej górze, cały lśni się od złota i drogich kamieni...

— Któż go widział?

— Nasi kapłani chodzą do niego i rozmawiają... Potem przynoszą nam od niego rozmaite przestrogi i polecenia.

Po śmierci idziemy do niego wszyscy...

— Musi to być wspaniały pałac!..

— O, tak! — odpowiedział Piętaszek z zachwytem — bardzo piękny, a idzie do niego ten, kto dużo wrogów zamordował i dużo zjadł ludzi — dodał zniżonym głosem i

jakby się wstydząc tego co mówił.

— A więc ty, drogi Piętaszku, nie pójdziesz do tego wspaniałego pałacu i nie zamieszkasz go z Tupanem, bo odkąd jesteś u mnie, nie jadłeś ludzi... Ale zato pójdziesz do Boga mojego, do którego i ja pójdę po śmierci.

Nauczę cię teraz do kogo masz się modlić i przed kim klękać, słuchaj tylko uważnie, Piętaszku.

I zaczął mu tłumaczyć, jak zupełnie innym i miłość nawet dla nieprzyjaciół zalecającym jest Bóg chrześcijański, który świat i wszystko co jest na nim stworzył... Jak wysłuchuje tych, którzy się doń modlą.

— Ach! ciebie tylko, ciebie wielki Boże, uznaję za swego pana i władcę i ojca mego dobrego — mówił ze łzami Piętaszek — W ciebie tylko wierzę i wierzyć będę, nie w Tupana...

Taką była pierwsza modlitwa do prawdziwego Boga, przez nowonawróconego wypowiedziana.

Po nawróceniu dzikiego, Robinson zaczął myśleć coraz bardziej nad tem, aby módz wraz z Piętaszkiem wrócić do swej ukochanej ojczyzny.

Aby cel swój osiągnąć trzeba było zbudować statek lub chociażby dużą i mocną łódź.

Powiedział o tem swemu towarzyszowi, który jak zwykle, uradowany z wszystkiego, co mu polecił Robinson, zabrał się do budowy ze skwapliwością. Nie zagrażały już tej robocie deszcze ani słota, gdyż wypadały się, jak corocznie przez sześć tygodni i nie miało być niepogody, jak aż za rok od tej pory, Piętaszek więc wybrał się z Robinsonem po twarde i mocne drzewo, z którego możnaby

było zrobić statek.

Wynalazłszy drzewo o pniu grubym i twardym, Piętaszek nie rąbał bezowocnie, jak Robinson, lecz rozniecił ognisko, zwalił drzewo, a potem wypalił wnętrze. Robił to tak zręcznie i prędko, że w przeciągu dwóch miesięcy stali się właścicielami prawie zupełnie wykończonej łodzi.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ II.

Próba z łodzią. — Wpadnięcie z łodzią w wir morski. — Przestrach i zwątpienie Piętaszka. — Ufność Robinsona. — Ocalenie i powrót na pożegnaną już wyspę. — Pobyt dalszy na niej. — Projekt wyruszenia do krainy Piętaszka po jego ojca. — Burza i huk kuli armatniej. — Oderwanie się łodzi od brzegu. — Rozpacz Piętaszka.

Po ukończeniu budowy łodzi, Robinson wyciosał dwa wiosła i szczęśliwi niezmiernie wyruszyć postanowili na morze. Zabrawszy ze sobą odzież, zapasy żywności, papugę, która nie chciała zejść z ramienia Robinsona i pożegnawszy ze łzami tulące się do nich lamy, wsiedli do uwiązanej u brzegu łodzi, żegnając ustronie, w którem Robinson przebył już całe dziewięć lat i do którego bardzo się przywiązał.

Droga z początku pomyślna naraz zmieniła się w przerażające wirowanie wokoło fal morskich. Nie w stanie był, ani Robinson ani Piętaszek przemóc siły żywiołu.

Straszliwy wir porwał w swą moc nikłe, kruche czółno z Robinsonem i jego towarzyszem i rzucał nimi jak łupiną orzecha, napełniając serca bezmiernym strachem o życie.

Porzucili wiosła, bo nie w stanie byli cofnąć łodzi miotanej przez morskie odmęty i czekali śmierci.

— Panie! — wołał w rozpaczy Piętaszek — rzućmy się do morza, zginiemy od razu... Nie pomoże już nic!

— Nie można — odrzekł Robinson — nasz Bóg nie

pozwala na odbieranie sobie życia. Ufajmy Bogu, on nas napewno nie opuści. Tyle razy znajdowałem się w niebezpieczeństwie i zawsze mnie z niego wyratował — wyratuje i teraz... Dalej! zabierajmy się do roboty! Prędzej! prędzej za wiosła!

Piętaszek podniecony słowami Robinsona, zaczął z całej siły wiosłować, Robinson ze zdwojoną energją zabrał się też do wycofania łodzi z niebezpiecznego wiru i dzięki mozolnej pracy, łódź zaczęła się cofać i wkrótce wypłynęła na ciche fale.

Jakżeż cieszył się Piętaszek, jak dziękował swemu nowemu Bogu za ocalenie!

— Piętaszku, — zapytał Robinson — gdy minęło już niebezpieczeństwo, czy trafiłbyś do kraju z którego przyszedłeś?

— O, naturalnie! zawołał z żywością — Oto ten czarny punkcik, to kraina mego kochanego ojca i moja...

— Jedźmy więc — rzekł Robinson — morze ciche, dopłyniemy szczęśliwie...

Piętaszek wdzięczny był bardzo i dziękował Robinsonowi za to szczęście.

Im bliżej jednak byli czarnego punktu, tem bardziej rozczarowywał się Piętaszek co do pewności, że to jego ojczyzna jest owym punkcikiem.

Gdy już niewielka przestrzeń dzieliła naszych podróżnych od miejsca, do którego dążyli, przekonali się naocznie, że była to ich wyspa, a czarnym wznoszącym się punktem była wulkaniczna góra, która niegdyś tyle strachu narobiła Robinsonowi.

Wysiedli przy brzegu morza i usadowiwszy się na piasku, zjedli trochę z zapasów, poczem przywiązawszy łódź wrócili do swej pożegnanej już groty.

Jakżeż miłą i zaciszną zdała się Piętaszkowi wyspa, którą z tak lekkiem sercem opuszczał!

Zaprzysięgał się, że nigdy stąd się nie ruszy, że siedzieć będzie spokojnie ze swym ukochanym panem, chyba że kiedyś, kiedyś zawinie u brzegu wyspy statek i zabierze ich do ojczyzny...

Robinson myślał inaczej. Jego tęsknota za rodzinnym krajem i opuszczonymi rodzicami była tak wielką, że nie zważał na żadne trudności, a i zapomniał zupełnie o niedawno przebytem niebezpieczeństwie.

Razu pewnego, gdy usiedli na miękkiem posłaniu w grocie, aby przed uśnięciem porozmawiać trochę i o domu rodzinnym przypomnieć, spytał Robinson swego towarzysza coby na to powiedział, gdyby tak postanowić sobie wybrać się po jego ojca, pobyć kilka tygodni w jego kraju i znów na wyspę powrócić.

Piętaszek zapomniał o wirze morskim i o przestrachu, jakiego wtedy doznał, a rzucając się do całowania rąk Robinsona, cieszył się i okrzyki radości wydawał.

— Ach! ach! — wołał uradowany — zobaczę mego starego ojca, mego dobrego kochanego ojca! Jakież to szczęście!..

Robinson wysłuchawszy jego okrzyków na swą cześć i podziękowań, przedstawił Piętaszkowi, że, jak tylko urządzą ogród,, zasadzą ziemniaki, kukurydzę i inne zdatne do jedzenia warzywa, wtedy wyruszą do jego ojca i

zatrzymają się czas jakiś w jego ojczyźnie.

Zabrano się więc z gorliwością do sadzenia jarzyn, przeplantowano kakao, które zdało się bardzo na napój. Robinson bowiem zmełł ziarna kakao, ugotował z mlekiem lamy i w ten sposób nie wiedząc o tem, że zczasem napój ten będzie w użyciu, wynalazł coś odpowiedniego na śniadanie. Brakowało wprawdzie do tego cukru, ale i bez osłodzenia było to tak smaczne, że Piętaszek prosił, żeby napój ten codziennie przyrządzać, na co nie zgodził się Robinson, tłumacząc, że wciąż jedno może się uprzykrzyć, a wszak mają i orzechy kokosowe i ziemniaki i mięso lamy i masło, sery i drzewo chlebowe, z którego wspaniałe owoce służą im za chleb do zupy lub mięsa.

— Mój pan ma zawsze słuszność — odpowiedział Piętaszek — jesteśmy bardzo szczęśliwi i mamy dosyć innego jedzenia...

Po urządzeniu ogrodu z warzywami i cienistemi alejami do spaceru, Robinson oznajmił swemu towarzyszowi, iż na drugi dzień rano, wyruszają do jego ojczyzny.

Uszczęśliwiony Piętaszek przygotował wszystko co było potrzebne do drogi, a więc dużo pożywienia, trochę odzieży, zrobił nowe wiosła i oczekując ranka, długo w nocy nie mógł usnąć.

Zaledwie pierwszy sen skleił ich powieki kiedy straszliwa burza zerwała ich na nogi. Ogłuszające grzmoty, padające pioruny, następowały jedne po drugich, napełniając serca mieszkańców groty przestrachem.

— Cóż za szczęście! — odezwał się Robinson — że teraz podczas tej okropnej burzy jesteśmy w grocie nie zaś

na morzu. Coby to się z nami stało?..

Naraz dał się słyszeć krótki urwany huk z oddali. Robinson zdziwiony i wzruszony zarazem, zawołał:

— Wielki Boże! to huk armatni... Ktoś wzywa pomocy... Biegnijmy na dach groty, rozpalmy ognisko, aby dać znać, że jest tu ktoś i że gotów przyjąć zapędzonych burzą, do swego schroniska!

Tejże chwili wybiegł Robinson z Piętaszkiem, ale o rozpaleniu ognia nie mogło być nawet mowy. Deszcz był tak ulewny, że ani myśleć o utrzymaniu płomieni...

Zrozpaczony Robinson z niecierpliwością oczekiwał ranka, aby módz dojrzeć okręt, który wzywał pomocy i aby dać znać, że na wyspie są ludzie pragnący powrotu do ojczyzny.

Rankiem, gdy burza ustała i słońce ozłociło wyspę, Piętaszek poszedł nad morze i cóż ujrzał?

Jego pracy mozolnej, jego nadziei całej nie było!

Łódź oderwała się od brzegu i gdzieś tam mile całe uniesiona została przez fale...

Biedny Piętaszek szalał z rozpaczy. Krzyczał, rwał włosy, rzucał się na ziemię i zdawał się być niepocieszonym.

— Nie można tak szemrać przeciw wyrokom Boskim — uspokajał go Robinson. Bóg wie co robi. Możeby nas właśnie podczas wycieczki łodzią spotkało jakie nieszczęście... Uspokój się Piętaszku...

I podczas gdy Piętaszek rozważał słowa swego dobrego pana, Robinson przyglądał się morzu, nadaremnie wypatrując okrętu, który dawał napróżno sygnały armatnie.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ III.

Odkrycie okrętu przez Robinsona — Odwaga Piętaszka — Dopłynięcie Piętaszka do okrętu — Pierwsze powitanie przez psa — Przerażenie z powodu nieznanego zwierzęcia — Ucieczka — Towarzyszenie psa — Zemdlenie Piętaszka — Rozpacz Robinsona.

Robinson nie zaprzestał poszukiwań. Nie mógł przypuścić, żeby huk armatni był tylko odgłosem piorunu. Wszedł więc na górę, skąd rozciągał się widok na morze i spojrzawszy w dal wydał okrzyk pełen radości.

Krzyk ten rozległ się z taką siłą, że przerażony Piętaszek biedz począł ku swemu panu, nie wiedząc, czy ma się cieszyć, czy płakać.

Robinson biegł z taką siłą nad brzeg morza, że zdawał się być oszalały.

— Okręt! okręt! — powtarzał do siebie wzruszony —

— Na okręcie jest ktoś z pewnością, zabierze nas i zawiezie do Marsylji!..

Piętaszek biegł co mu sił starczyło, dziwiąc się tak szybkiemu biegowi swego pana.

Po godzinie niezwykle szybkiego biegu przybyli nad brzeg morza, poza którym był okręt bujający się na falach.

— Hallo! Hallo! — wołał Robinson — wtórował mu w tem Piętaszek, ale nikt nie ukazywał mu się na pokładzie...

— Niema więc tam nikogo! — wyszeptał zawiedziony — ale trzebaby się tam dostać...

W jaki sposób?...

Piętaszek obserwował ze zdziwieniem Robinsona. Przed chwilą tak wesoły, teraz był niespokojny i zmartwiony.

Coby mu się stało?

Robinson, jakby odczuwając zaciekawienie Piętaszka, zwrócił się do niego ze smutkiem:

— Nie mamy łodzi, w jakiż sposób dostaniemy się do okrętu?... A moglibyśmy powrócić do naszej ojczyzny, ujrzeć jeszcze rodziców, być szczęśliwymi...

Piętaszek zamyślił się na chwilę, poczem, zwróciwszy się ku okrętowi, jakby dla zmiarkowania czy odległość nie jest za duża, zaproponował Robinsonowi swą pomoc. Oto dopłynie do okrętu tam i z powrotem i powie co tam zobaczył.

Robinson wiedział, że Piętaszek jest świetnym pływakiem, z radością przyjął jego propozycję i ucałowawszy go serdecznie stanął nad samym brzegiem, aby obserwować swego towarzysza.

Piętaszek dopłynął szczęśliwie do okrętu. Jego czarnowłosa głowa coraz to ukazywała się oczom Robinsona, uspokajając go co do bezpieczeństwa.

Przypłynąwszy na miejsce Piętaszek wdrapał się na pokład; gdy naraz rozległy się czyjeś stąpania i nieznane mu wcale zwierzątko przyskoczyło wydając radosne okrzyki i machając ogonem.

Piętaszek bał się z początku, ale gdy poczciwe zwierzę polizało go po ręku, uspokojony pogłaskał je i wszedł głębiej.

Ledwie próg przestąpił, gdy coś okropnego z rogami i

siwą brodą rzuciło się na niego i uderzywszy rogami powaliło go na pokład. Przerażony w najwyższym stopniu Piętaszek pędem rzucił się ku ucieczce.

Płynąc całą siłą do brzegu naraz usłyszał poza sobą plusk kogoś za nim goniącego. Pewny, że to owe straszydło z rogami goni go i po morzu, wydał okrzyk przestrachu i ledwie mógł do brzegu dopłynąć.

Dopłynąwszy padł nieprzytomny u stóp stojącego tam Robinsona.

Robinson rzucił się go ratować. Trząsł nim, wołał najczulszemi wyrazami, ale przez długi czas nic to nie pomagało.

Zrozpaczony płakać zaczął i lamentować, gdy naraz Piętaszek otwarł oczy i uśmiechnął się do Robinsona z radością.

Obok nich stał piesek, który go tak przyjaźnie powitał na okręcie i który, bojąc się samotności popłynął za Piętaszkiem.

Piętaszek zapytywany przez Robinsona, co widział na okręcie, oświadczył, że jest tam pan okrętu z rogami i siwą brodą i że ten to pan pchnął go tak silnie, że aż upadł na pokład i ledwie z życiem uciekł.

Robinson uśmiał się z tego serdecznie, tłomacząc mu, że to była koza, zwierzę dające jak i tutejsze lamy mleko i mięso i że niepotrzebnie nabawił się takiego strachu.

— Szkoda, ze nie ma tam nikogo z ludzi!.. Pewnie wyrzuceni zostali na brzeg morza albo poginęli.

W każdym razie, okręt przypłynął do brzegu u mojej wyspy, wszystko więc co jest na nim do mnie należy.

Ale jak to wydostać? łodzi naszej niema, co począć? Chyba zbudujemy szybko, zanim przypływ nie zabierze i nie uniesie wszystkiego, tratwę. Zbijemy ją z desek grubych i na niej przywieziemy to, co tam się dla nas pożytecznego może znaleźć.

Dalej Piętaszku, mój wierny przyjacielu, do roboty! Przynieś co do zjedzenia i zaczynajmy! Do rana musi być tratwa gotowa!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ IV.

Budowanie tratwy — Dopłynięcie do okrętu — Rozglądanie się w zapasach — Wojownicza koza nakarmiona — Wybieranie przez Robinsona rzeczy najpotrzebniejszych — Przebranie się w europejskie suknie — Przestrach Piętaszka z powodu strzelania przez Robinsona.

Noc już zapadła, gdy Piętaszek powrócił z pożywieniem i drzewem na tratwę.

Rozłożono jedzenie, a najgłodniejszym się okazał biedny piesek z okrętu. Rzucił się z ogromną łapczywością na podane sobie kawałki mięsa i nie gryząc połykał. Nieszczęśliwe stworzenie od paru dni już nie jadło.

Rozpoczęto pracę gorączkową prawie już przy blasku księżyca i pracowano bez przerwy. Nad ranem dopiero rzucili się dwaj pracownicy na trawę i snem twardym usnęli.

świtać zaczęło, jak zerwali się na równe nogi i zabrali się znów do roboty.

Pracowali jeszcze czas jakiś, poczem postanowili spróbować swej tratwy.

Szła wolno, lecz zupełnie bezpiecznie i dlatego odważyli się dopłynąć do okrętu.

Robinson ogromnie wzruszony zbliżał się do budowli, w której byli niegdyś ludzie, za których widokiem tak tęsknił i w której być może znajdują się i teraz w kajucie, może

omdlali ze wzruszeń przebytych. Ach! cóżby dał za to, żeby okręt ten okazał się użytecznym, gdyby mógł jeszcze służyć na podróż do Marsylji!

Wszedłszy na pokład ujrzał pustkę głuchą i żaden głos nie wydobywał się z wnętrza okrętu.

Piętaszek, bojąc się spotkania z rogatem straszydłem, szedł zdała za Robinsonem. Zbliżył się dopiero, gdy posłyszał za sobą głos:

— Ach! biedne zwierzę! jakżeż musisz być głodne! Piętaszek poszedł żywo i zobaczył kozę leżącą bez ruchu na podłodze. Zdawało się, że już nie żyje, ale gdy Robinson zeszedł do wnętrza okrętu i przyniósł jej wody i pożywienia, podniosła się trochę i posiliwszy się zaczęła spacerować po pokładzie.

Robinson tymczasem zaczął przeszukiwać wszystkie kąty, myśląc czy nie znajdzie czasem jakiegoś znaku, po którymby poznał czyj to jest okręt i skąd przyjeżdża. Znalazł wprawdzie rękopisy i ale w nieznanym mu pisane języku, miarkował tylko, że to są hiszpańskie, znał bowiem kilka wyrazów ze słyszenia, a te powtarzały się tu bardzo często.

Zeszedłszy do dolnych schowanek, znalazł wszystko, czego przez długie lata nie jadł i nie widział.

A więc beczki mąki pszennej, konserw, herbaty, kawy, mięsa suszonego, sucharów, chleba, oliwy, wina i t. p. rzeczy. Prócz tego znalazł mnóstwo ubrań, bielizny, obuwia, beczki prochu, broń różnego rodzaju, wreszcie szkatułkę drogich kamieni i w orek złota.

To ostatnie postanowił zostawić...

— Co mi po tem? — mówił — Mam i tak bezpotrzebnie bryłę złota w swej grocie... Najpierwsza rzecz odzienie i broń...

Wybrał więc ubranie kapitana z zielonego sukna ze srebrnemi guzikami i galonami, ubrał się w nie, włożył kapelusz do tego stosowny, przywiesił pałasz u boku; na ramię strzelbę nabitą, buty ze stylpami na nogi i stanął przed zdziwionym tą przemianą Piętaszkiem.

Wybrawszy dla niego również stosowny ubiór, kazał mu się przebrać za marynarza, ale Piętaszek nie miał pojęcia, jak ma do tego przystąpić.

A więc kurtkę zapiął na plecach, koszulę włożył rękawami na nogi i z innemi częściami ubrania również nie mógł poradzić. Wreszcie przy pomocy Robinsona ustroił się w europejskie ubranie i przejrzawszy się w wodzie, zadowolony był ze swego wyglądu.

Robinson wybrawszy co najpotrzebniejsze i przesunąwszy na tratwę, postanowił wyprawić na okręcie ucztę z zapasów tam tak obficie nagromadzonych.

Wyjął butelkę wina, rozpakował puszkę z homarami, wziął chleb, masło, wędliny i rozkoszował się nietylko wykwintnym smakiem potraw ale i nakryciem, którego brak odczuwał ogromnie.

Zasłał więc stół serwetą, położył widelce i noże, któremi Piętaszek w żaden sposób nie umiał się posługiwać i zachwycony tem wszystkiem zajadał z apetytem jak nigdy od czasu rozbicia okrętu.

Po obiedzie postanowił zapoznać Piętaszka z bronią. Wynik tego był bardzo zabawny:

Piętaszek, posłyszawszy huk przeraźliwy, rzucił się na ziemię i leżał tak dotąd, dopóki Robinson nie kazał mu powstać,

Zaznajomiwszy go z prochem i strzelbą i wytłomaczywszy mu, że to nie Tupan bożek, ale proch strzela, wystrzelił po raz drugi.

Poraz drugi Piętaszek upadł twarzą na ziemię i nic go nie zdołało przekonać przez czas jakiś, że to nie pioruny ale wystrzały.

Przez długi jeszcze przeciąg czasu Piętaszek obchodził wokoło Robinsona, bojąc się jego strzelby, potem przywykł o tyle, że sam uczył się z niej strzelać, aby w razie potrzeby umieć się bronić.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ V.

Zabranie potrzebnych rzeczy z okrętu — Przewiezienie na wyspę — Powrót do okrętu, zabranie klejnotów — Burza na morzu — Robinson w niebezpieczeństwie — Ocalenie Robinsona przez Piętaszka — Zbudowanie domku, wozu, obsiewanie pola grochem, jęczmieniem i pszenicą.

Wybrawszy co najpotrzebniejsze, Robinson wraz z Piętaszkiem przewieźli nad brzeg morza i tak powracali sześciokrotnie, nie mogąc naraz zabrać całego swego bogactwa.

Za powrotem do okrętu, Robinsonowi przyszła myśl do głowy, że nieszlachetnie jest tylko o sobie myśleć.

Postanowił zabrać klejnoty i złoto, spodziewając się że właściciel okrętu może się znaleźć a wtedy wielką to dla niego będzie radością, gdy odzyska cały może swój majątek.

Po sześciu dniach postanowił Robinson wszystko co ułożyli na brzegu morza zabrać na wyspę. Raz tylko jeszcze pojechali tratwą aby przejrzeć, czyby się co jeszcze nie przydało, ale naraz, blizko już brzegu zerwała się szalona burza.

Tratwa pędzona bałwanami rozbiła się w drzazgi i Robinson rozdzielony z Piętaszkiem, miotany wichrem i falami na wszystkie strony, rozpaczliwie zaczął wzywać pomocy.

Piętaszek, posłyszawszy wołanie o pomoc swego pana, rzucił się ku niemu i z nadludzką siłą trzymając go przy sobie, dociągnął do brzegu nieprzytomnego.

Ułożył go na mchu i płacząc i lamentując starał się do przytomności przywrócić.

Dopiero po jakimś czasie, który wydał się Piętaszkowi wiekiem, Robinson otworzył oczy i zobaczywszy koło siebie wiernego towarzysza, przypomniał całą przygodę na morzu i z wdzięcznością rzucił się Piętaszkowi na szyję.

Ten ostatni skakał i płakał zarazem z radości. Wziął Robinsona na ręce i ułożył go na puchowych poduszkach, poczem usiadł przy nim i czuwał jak nad dzieckiem.

Jakaż różnica między czasem, kiedy Robinson chorował sam bez niczyjej pomocy i starań, a tym, w którym dłoń ludzka kochająca ocierała mu pot z czoła i troskliwie nad nim czuwano.

Sen ciężki, jaki ogarnął Robinsona, przywrócił mu wkrótce siły i pozwolił w dalszym ciągu zajmować się przerwaną przez burzę czynnością.

Nazajutrz przeminęła burza, niebo rozjaśniały dawno promienie słońca, gdy Robinson wyspany i wypoczęty wstał aby zobaczyć co zrobiła burza z okrętem i zacząć przewozić swe skarby w dalszym ciągu na wyspę.

Z okrętu pozostały tylko pływające po falach kawałki drzewa i resztki niezabranych rzeczy.

Robinson dziękował Bogu za to, że zdążył przed burzą wywieźć co najpożyteczniejsze na brzeg morski, że on i Piętaszek nie lenili się po sześć razy wyruszać na tratwie, aby zdobyć różne zapasy żywności, proch i trochę odzieży.

Kozę odprowadzono najpierw na wyspę, gdzie zaprzyjaźniła się zaraz z lamami i czuła się bardzo szczęśliwą wśród traw i zieleni, których była na okręcie pozbawiona.

Rzeczy wywiózł Robinson i wyniósł wraz z Piętaszkiem sam, potem zaś resztę przy pomocy lam, które z wielką łatwością dźwigały najcięższe rzeczy i radośnie beczały zbliżając się do swej zagrody.

Przywiózłszy wszystko na wyspę, Robinson zrozumiał, że pomieścić się to nie da w grocie i w szopie. Naprędce sklecono namiot, resztę zaś postanowiono umieścić w mającym się budować domu. Domek ów stanął wkrótce i napełnił dumą jego budowniczych.

Miał on nawet okienka, gdyż Robinson nie omieszkał zabrać okien z kajuty okrętu. Piętaszek nie widział szkła w swem życiu, to też z podziwem patrzał na przezrocze otwory w budynku, pukał palcem, dotykał, by się przekonać, czy rzeczywiście cośkolwiek oddziela od wewnątrz.

Po ukończeniu domku, zbudowano forteczkę, postawiono wziętą z okrętu armatę i nie bano się już teraz dzikich ludożerców.

Jeden wystrzał armatni przegnałby ich napewno, takim strachem bowiem napełnia ich huk kuli armatniej, którą uważają za piorun zesłany przez ich bożka Tupana.

Tymczasem nadeszła pora zbiorów. Robinson po skoszeniu pszenicy, zmełł ją w małym młynku od kawy i spróbował upiec chleb.

Chleb był naturalnie twardy, nie tak delikatny, jak

znaleziony na okręcie, ale smakował bardzo i był pożywny.

Z nadejściem deszczów pracował Robinson ze swym przyjacielem przy świetle lampki. Nie zabrakło im nigdy roboty, skończyli jedną, zaczynali drugą i tak coraz to coś nowego przybywało do ich gospodarstwa.

Powoli nabrali wielkiej wprawy w robocie, zrobili wóz, do którego zaprzęgali lamy, potem z kawałków żelaza zrobili bronę i coś w rodzaju pługa, a jak tylko przeminęła pora deszczowa, rozpoczęli pracę na roli.

Zasiewali zboże, jęczmień, kukurydzę a po upływie pięciu miesięcy zaczęto zbierać dojrzałe już zupełnie zboża i warzywa.

Pozostała jedna jeszcze rzecz do zrobienia: zbudowanie stodoły, w którejby pomieścić było można swe zbiory.

Wystawiono stodołę, ułożono snopy i w miarę potrzeby młócono i mielono w młynku.

Tak płynął czas: mijały dni upalne, nadchodziły sześciotygodniowe słoty, potem znów ciepło i burze i nigdy pilnym pracownikom nie zbrakło roboty w polu lub przy domu.

Robinson zmężniał i nabrał siły do pracy, Piętaszek przewyższał go jeszcze zręcznością i sprytem budowlanym i wyrósł na poważnego młodzieńca.

Nie tęsknił już za ojczystą wyspą jak to dawniej bywało, zżył się ze zwyczajami Robinsona i całem sercem go pokochał.

We dnie pracował ze swym panem, starając się mu we wszystkiem dogadzać, wieczorem po przyrządzeniu kolacji zasiadał na posłaniu i długie z nim prowadził rozmowy.

Towarzyszyły im: papuga, wierny pies z okrętu i stare poczciwe lamy.

Przed udaniem się na spoczynek Piętaszek odmawiał z Robinsonem modlitwę, dziękując Bogu za wszystkie zesłane im dobrodziejstwa.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

CZĘŚĆ V.

ROZDZIAŁ I.

Powodzenie Robinsona — Przygotowanie do odwiedzin ojca Piętaszka — Przybycie dzikich na wyspę — Uczta — Przestrach ludożerców — Walka — Uratowanie jeńca — Znalezienie ojca Piętaszka — Wzajemne opowiadanie.

ROZDZIAŁ II.

Wyprawa Hiszpana wraz z ojcem Piętaszka na wyspę po rozbitków — Przyjazd nieznanych ludzi — Ocalenie Kapitana i dwóch towarzyszy — Uwięzienie winnych — Przebaczenie buntownikom.

ROZDZIAŁ III.

Rozkazy Robinsona — Wyjazd kapitana po resztę opornych marynarzy — Radość z powodu możliwości dostania się do Marsylji — Kapitan chce mu ofiarować swój okręt — Powrót Hiszpana z ojcem Piętaszka — Prośba Anglików i Hiszpanów o pozwolenie pozostania na wyspie — Pożegnanie Robinsona — Wyjazd —

Burza przy brzegach Marsylji — Utrata złota — Powitanie rodziców.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronach autorów: [Elwira Korotyńska](#), [Daniel Defoe](#).*

ROZDZIAŁ I.

Powodzenie Robinsona — Przygotowanie do odwiedzin ojca Piętaszka — Przybycie dzikich na wyspę — Uczta — Przestrach ludożerców — Walka — Uratowanie jeńca — Znalezienie ojca Piętaszka — Wzajemne opowiadanie.

Nie brakło już niczego Robinsonowi. To, co mu nie pozwalało zająć się konieczną pracą przy domu, otrzymał z rozbitego burzą okrętu.

Miał młotki, łopatki, gwoździe, żelazo, różne narzędzia rolnicze, oporządził więc swój dom, ulepszył forteczkę, porobił nawet zamki do drzwi i zasuwy, a robił to ostatnie dlatego, aby w razie najścia ludożerców, którzy tu, według słów Piętaszka, co jakiś czas wyprawiali swe uczty, mieć się gdzieś zatarasować i bronić.

Pola obrodziły Robinsonowi obficie. Zboża gięły się pod ciężarem kłosów, groch, kukurydza i proso złociły się w upalnem słońcu, a drzewa kokosowe, zasadzone niegdyś przez biednego rozbitka, pochylały się ku ziemi, tak były obciążone orzechami.

Miał już Robinson przy sobie wiernego i oddanego sobie na całe życie towarzysza, mógł przemówić do kogoś, mógł pożalić się w chorobie i ucieszyć się we wspólnem powodzeniu. Zdawało się, że powinien być najzupełniej szczęśliwym i nie pragnąć już niczego więcej, jak dokończenia tutaj życia w spokoju.

A jednak Robinson nie był zupełnie szczęśliwym.

Tęsknota za ukochanymi rodzicami szarpała mu nieraz serce, wywoływała w nocy we śnie widok obojga najdroższych, tak okrutnie przez niego opuszczonych.

I dla kogo? dla czego?.. Dla próżnowania na morzu, dla rozrywki, dla poznania świata! A toż poznaćby mógł, będąc kiedyś szanowanym kupcem i jeżdżąc w zamorskie kraje po zakup towarów... O, jakżeż był niewdzięczny i nieszlachetny!

Myśl uczynionej rodzicom krzywdy nasuwała mu wciąż obrazy przybijających do brzegu jego wyspy okrętów, codziennie stawał na szczycie góry, niegdyś wybuchłej i wyglądał spełnienia swych marzeń.

Spotykał go wciąż zawód. Rzucał się wtedy, o ile był bez Piętaszka, na ziemię i rzewnemi zalewał się łzami.

Smutny najlepiej zrozumie smutnego. To też Robinson, sam mając ból głęboki w sercu, przeczuł, że i Piętaszek też cierpi i tęskni. Wszak i on miał starego ojca, o którym z takiem wzruszeniem opowiadał. I on miał ziemię ojczystą, na której wzrósł i wychował się...

Widział nieraz Robinson na poczciwej twarzy swego przyjaciela smutek i wyraźną tęsknotę, dostrzegł nieraz łzę nawet, którą Piętaszek czemprędzej ocierał, aby swego dobrego pana nie martwić.

Pewnego więc pięknego dnia, zawołał go do siebie i oznajmił, że za parę dni postanowił wyruszyć do jego kraju i tam jakiś czas pobyć, obawia się tylko, czy go dzicy nie zjedzą.

Piętaszek uszczęśliwiony całował jego ręce, rzucał mu

się na szyję i w przystępie radości, wydawał dzikie, jeszcze z dawnych czasów przypomniane, okrzyki.

Poczem zapewnił Robinsona jak najuroczyściej, że mieszkańcy jego krainy napewno przyjmą go gościnnie i nic mu nie zrobią złego.

Zaczęto się więc wybierać w drogę. Piętaszek przygotowywał zapasy, oglądał łódź, czy nie jest uszkodzona i corazto cieszył się wyjazdem.

Tegoż dnia Robinson, jak zwykle, wszedł na wierzchołek góry i chciał spojrzeć na morze, czy czasem nie zawija do niego jaki okręt.

Zaledwie wziął lunetę do oczu, wydał okrzyk grozy i czemprędzej pobiegł do Piętaszka.

Ujrzał bowiem na pełnem morzu sześć nieprzyjacielskich łodzi, kierowali się ku stronie wyspy, na której zawsze wyprawiali swe obrzydliwe uczty.

Przygotowano więc wszystko na powitanie wrogów, jeśliby chcieli do nich zawitać, oczyszczono strzelby, nabito prochem, poczem, usadowiono się przy fortecy, przypatrując się zpoza krzaków czynności przybyszów.

Dzicy, wysiadłszy z łodzi, rozpalili w zwykłem miejscu ognisko, poczem z okrzykami i wyciem tańczyli koło niego, podskakując i wyśpiewując radośnie.

Po jakimś czasie Robinson i Piętaszek zauważyli ruch jakiś. Wywołano paru z pośród siebie i wysłano do łodzi.

W chwilę potem dwóch ciągnęło skrępowanego sznurkami jakiegoś białego człowieka do ogniska, podczas gdy inni rozszarpywali i jedli przy ognisku członki innej nieszczęśliwej ofiary.

Robinson, dowiedziawszy się od śledzącego wciąż Piętaszka, iż rzucono już na murawę człowieka, który należał do tej samej, co i on rasy, — postanowił jawnie wystąpić i uratować od śmierci.

Wydawszy rozkaz Piętaszkowi, aby był mu posłusznym i robił to, co mu wskaże, ustawił armatkę okrętową nawprost ogniska dzikich, ale wysoko na wzniesieniu, tak, aby kula przeleciała nad głowami dzikich, przestraszyła ich i zmusiła do ucieczki lub zamieszania, podczas którego porwałby on albo Piętaszek owego białego i uniósł do swej groty.

Jak myślał, tak zrobił. Kula przeleciała nad głowami dzikich, nikogo nie raniąc, ale przerażając wszystkich okropnie.

Popadali twarzą do ziemi i leżeli tak przez czas jakiś bez ruchu. Wskoczyli jednak wkrótce i spostrzegłszy, że nic im nie grozi, rozpoczęli nanowo tańce koło ogniska.

Wtedy Robinson, bojąc się, aby nie zabrali się do mordowania nieszczęśliwego jeńca, dał wystrzały armatnie jeden po drugim, po których znów padli na ziemię, niektórzy zaś zamierzali uciekać.

Korzystając z chwili przestrachu, Robinson celnym strzałem zwalił na ziemię paru dzikich, poczem rzucił się ku spętanemu jeńcowi, rozciął mu więzy i zapytał, kim jest.

Ten ostatni nie rozumiał mowy Robinsona, dopiero po niejakim czasie odpowiedział mu, że jest Hiszpanem.

Wypiwszy szklankę wina, wzmocniony na siłach, poprosił Robinsona o pałasz i rzuciwszy się ku swym wrogom, dwóch zaraz położył trupem.

Tymczasem dzicy, obejrzawszy się dookoła i widząc, że

mają do czynienia z ludźmi nie z siłami potężniejszemi od ludzi, postanowili się bronić.

Ale Robinson wraz z Piętaszkiem i uwolnionym białym tak celnie prażyli kulami i prochem, że pozostało tylko trzech ludożerców przy życiu.

Dwóch z nich zaczęło czemprędzej uciekać do swych łodzi, jeden zaś z nich olbrzym muskularny postanowił się nie dać pobić.

Rzucił się na uwolnionego przez Robinsona jeńca i zamachnąwszy się siekierą zamierzał uciąć mu głowę.

Szczęściem, obserwujący tę scenę Robinson, wystrzelił, kładąc go trupem.

Pozostali teraz na wyspie nasi trzej bohaterowie i dwudziestu jeden zabitych ludożerców.

Dwóch, którzy ratowali się ucieczką, wpadło do łodzi i czemprędzej odpłynęło w przeciwną stronę.

Robinson podszedł do pozostawionych na brzegu łódek i ze zdumieniem spostrzegł leżącego w jednej z nich spętanego sznurami człowieka.

Miała to być jeszcze jedna ofiara dzikich okrutników.

Człowiek ten był ciemnej cery i stary. Nie umiał nic odpowiedzieć na zadawane przez Robinsona zapytania, a po rozwiązaniu sznurków nie mógł się podźwignąć.

Robinson zawołał Piętaszka, aby w ojczystym swym języku rozmówił się z nieszczęśliwym, a sam poszedł do uwolnionego od śmierci Hiszpana, postanawiając dowiedzieć się skąd przybywa i w jaki sposób dostał się w ręce ludożerców.

Zaledwie Piętaszek podszedł do starca leżącego w lodzi,

zaczął wydawać okrzyki radości, płakał, klaskał w ręce, rzucał się na szyję biedaka i całował po rękach.

Robinson nie mógł pojąć, co mu się stało. Zdziwiony stanął przy nim, zapytując, czegoby się tak cieszył.

— To mój ojciec! to mój kochany stary ojciec! — wołał z płaczem radości Piętaszek. — Tyś go, panie uratował! przez ciebie mam mego ojca! O, panie mój, panie! jakżeż ciebie kocham!..

I odszedłszy od ojca rzucił się do stóp Robinsona i całował go i dzięki mu składał.

Robinson, mocno wzruszony kazał wynieść z łodzi nieszczęsnego jeńca i ułożyć na posłaniu, napoiwszy winem i nakarmiwszy mięsem lamy.

Stary ojciec opowiadał synowi, że właśnie dziś wypadała u dzikich wielka uroczystość na cześć Tupana i że porwali jego, kolegę i przyjaciela Piętaszka i tego tutaj Hiszpana na ucztę.

Przyjaciel Piętaszka został zamordowany i zjedzony, ich dwóch zaś ocalało, dzięki panu tej wyspy.

Nie mogąc wyrazić inaczej wdzięczności Robinsonowi, przykładał ręce do ust i jak dziecko posyłał w jego stronę pocałunki.

Robinson załatwiwszy się ze starym ojcem swego towarzysza, poszedł na pole walki i tam wspólnie z Hiszpanem i Piętaszkiem wykopali głębokie doły i pogrzebali zabitych. Piętaszek grzebiąc kości swego zamordowanego przyjaciela, gorzko płakał.

Po obiedzie i wykonaniu zwykłych zajęć, Robinson usiadł z Hiszpanem w swej grocie i prosił go o

opowiedzenie wypadków, poprzedzających jego tu przybycie na wyspę i ocalenie.

Okazało się, że uratowany Hiszpan był pasażerem rozbitego podczas burzy okrętu i że wiózł murzynów do plantacji. Podczas burzy, okręt wpadł na skały, których nie spodziewali się tam napotkać, jedni z murzynów przypłynęli do brzegu szczęśliwie i ratowali się od niewoli ucieczką, inni prawdopodobnie zginęli w bałwanach morskich.

Wpadnięcie na skałę wywołane zostało buntem załogi, która odmówiła posłuszeństwa kapitanowi i nie skierowała okrętu w bezpieczne miejsce.

Hiszpana wyrzuciła fala morska na brzeg jakiejś wyspy, gdzie dzicy przyjęli go z początku bardzo gościnnie i nie groziło mu nic z pozoru.

Wskutek jednak potrzeby dostarczenia na uroczystość ludzi do pożarcia, złapano dwóch krajowców i jego, związano i przywieziono na miejsce zwykłe ich uczt obrzydliwych.

Robinson z zajęciem słuchał opowiadania, które go mocno interesowało i ze względu na to, że okręt ten rozbił się u brzegów jego zamieszkania i z nadziei, że Hiszpan, być może, ułatwi mu powrót do Marsylji.

Opowiadał mu wtedy swoje dziwne przygody, swą ucieczkę z domu rodzicielskiego, rozbicie się okrętu, swą niedolę, dopóki nie powynajdywał pożywienia, tęsknotę swą za rodzicami, za mową ludzką, zdobycie sobie przyjaciela w osobie Piętaszka i wszystkie dalsze przygody.

Doszedłszy do miejsca, w którem miał mówić o

znalezionym okręcie, zapytał, czyje były klejnoty i pieniądze, które znalazł i które zachował do zwrotu.

Hiszpan mocno uszczęśliwiony powiedział, że wiózł je dla wdowy po pewnym marynarzu, który umarł na żółtą febrę w czasie podróży i polecił to zwrócić swej żonie.

Naopowiadawszy o wszystkiem udali się na spoczynek i wkrótce sen zamknął im oczy do rana.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ II.

Wyprawa Hiszpana wraz z ojcem Piętaszka na wyspę po rozbitków — Przyjazd nieznanych ludzi — Ocalenie Kapitana i dwóch towarzyszy — Uwięzienie winnych — Przebaczenie buntownikom.

Nazajutrz Robinson, jako król wyspy i władca wydał rozkazy swym podwładnym, którzy z gotowością robili co im kazał.

Piętaszek miał dużo pracy ze swym ojcem, który nie chciał w żaden sposób zrozumieć, że jedzenie ludzi jest czemś obrzydliwem, nie tracił jednak nadziei, że biedny, nawykły do tego starzec, oduczy się od robienia tego, co dla ludzi cywilizowanych jest wstrętnem.

Robinson nazwał ojca Piętaszka Czwartkiem i obchodził się z nim tak życzliwie, że dziki ten człowiek mimowoli wyciągał ku Robinsonowi ręce, gdy ten przechodził i najczulszemi na niego wołał słowami.

Razu pewnego, jakoś w kilka dni po bitwie z ludożercami, Robinson zawołał Hiszpana, Piętaszka i jego ojca i przedstawił im rzecz taką.

Hiszpan powinien wracać na wyspę, z której przyprowadzono go na rzeź i sprowadzić resztę swych towarzyszy, którzy również jak on zostali cudownie ocaleni.

Wraz z nim odjedzie ojciec Piętaszka, który pozostawił tam rodzinę i który może już zupełnie spokojnie tam osiąść, gdyż plemię wrogie, które napadło na cichych i dobrych

mieszkańców wyspy, już odjechało, a większa część wyginęła z rąk Robinsona i Piętaszka.

Piętaszka Robinson nie puszczał, bał się o niego, myśląc, że w razie wynikłej burzy, straciłby najlepszego i najdroższego przyjaciela i towarzysza niedoli.

Przed wyruszeniem w drogę Hiszpan czuł się w obowiązku uprzedzić Robinsona, że ci, którzy są obecnie na wyspie z dzikimi, nie są ani posłuszni ani dobrzy.

Jeśliby ich wszystkich tutaj sprowadził mógłby wyniknąć bunt i stać się wielkie nieszczęście.

Radził więc Robinsonowi, żeby jako król tej wyspy, na którą mają przybyć jego poddani, wydał rozkazy i przepisy, które albo przyjąć albo odrzucić mogą, ale w tym ostatnim razie przyjeżdżać im nie będzie wolno na wyspę Robinsona.

Przepisy były następujące:

1) Ktokolwiek postawi nogę na tej wyspie winien jest posłuszeństwo, swemu władcy Robinsonowi Kruzoe z Marsylji.

2) Wszelkie zatargi między mieszkańcami rozsądzać będzie Robinson.

3) Każdy z przybyłych na wyspę powinien stawać w obronie Robinsona.

4) Wszyscy prowadzić mają życie pracowite i umiarkowane.

Hiszpanie! o ile godzicie się na te warunki, przybywajcie, kładąc przedtem podpisy pod tą ustawą.

Robinson.

Hiszpan zabrał to pismo i pożegnawszy się z Robinsonem i Piętaszkiem wyruszył w drogę, zapowiadając swój prędki powrót na wyspę.

Po odpłynięciu łodzi, Robinson, chcąc rozerwać zasmuconego odjazdem ojca, Piętaszka, wyszedł z nim na polowanie.

Wkrótce, gdy Piętaszek poszedł w głąb wyspy w poszukiwaniu zwierzyny, rozległ się głośny okrzyk przestrachu. Zanim Robinson nadbiegł, Piętaszek stanął przed nim przerażony do najwyższego stopnia, wołając, że tam w norze zobaczył jakiegoś złego ducha z oczami iskrzącemi i straszliwą postacią.

Robinson, z góry wiedział, że nic podobnego tam być nie mogło, zeszedł nawet do środka i ujrzał starą lamę, która tu przyszła życie zakończyć w spokoju.

Szklisty wzrok zgasłego zwierzęcia napełnił przestrachem Piętaszka i naraził go na śmiech ze strony Robinsona.

— Ach, kiedy ty się zmienisz na tym punkcie? — powiedział do niego Robinson — czyż ci nie wstyd byle czem się przerażać!

Wyciągnięto lamę i zakopano, norę zaś, która okazała się wysokości człowieka, przeznaczył Robinson na piwnicę. Dorobiono drzwi i zamknięto je na klucz, mając nadzieję, że przyda się ona wkrótce.

Ośm dni minęło od wyjazdu Hiszpana a żadnej jak dotąd nie było wiadomości.

Pewnego ranka, gdy Robinson zajęty był gotowaniem

śniadania, dał się słyszeć okrzyk radości Piętaszka: Wracają! wracają!..

Robinson wziął lunetę i wpatrzywszy się w dal ujrzał rzeczywiście łódź z podróżnymi.

Przyglądał się raz drugi i trzeci i pobladły wyszeptał: To nie oni, to jacyś inni ludzie...

Piętaszek przeląkł się bojąc się napadu dzikich, którzy może postanowili pomścić śmierć swych towarzyszy, ale Robinson uspokoił go, radząc, aby ukrywszy się za górą wulkaniczną obserwować przybicie owych łodzi i postępowanie podróżnych.

Wkrótce też upewnił Piętaszka, że nie są to dzicy lecz biali ludzie, jak z ubioru widać Anglicy.

Ukryci za górą widzieli jak wysiadło jedenastu ludzi. Ośmiu z nich było uzbrojonych, a trzech bez broni. Ci ostatni byli skuci łańcuchami, po przy byciu jednak na brzeg, zostali rozkuci i puszczeni na wolność.

Jeden z nich rzucił się na kolana, wznosząc błagalnie ręce, jakby o coś prosząc, dwaj inni z rękami złożonemi rozpacznie, wzrok swój skierowali ku niebu, jakby stamtąd szukając ratunku.

Na ten dziwny widok Robinson poczuł dreszcze w ciele i nie wiedział co o tem wszystkiem myśleć.

Piętaszek wyszeptał cichutko ale z tryumfem do swego pana, że i jego biali ziomkowie też będą mordowali i jedli ludzi.

Ale Robinson gorąco zaprzeczył temu przypuszczeniu, przyglądając się dalszemu ciągowi tej sceny.

Jeden z uzbrojonych głosem silnym i uroczystym coś

mówił do klęczącego u stóp jego człowieka, wreszcie odszedł wgłąb lasku wraz ze wszystkimi uzbrojonymi, pozostawiając tych troje na brzegu.

Po odejściu uzbrojonych, trzej pozostali rzucili się w rozpaczy na ziemię, płacząc i wołając do Boga o ratunek.

Wzruszony Robinson, wyczuwając z ich postępowania, ze są nieszczęśliwi, postanowił ich uratować.

Rozkazał Piętaszkowi uzbroić się od stóp do głowy i przynieść mu również broń i prochu ile tylko się da unieść.

Piętaszek, z szybkością ptaka rzucił się ku mieszkaniu, aby jaknajprędzej i jaknajlepiej wypełnić polecenie swego pana, Robinson zaś, obserwując w dalszym ciągu przybyłych, zauważył, że ci, którzy byli uzbrojeni odeszli w cień i ułożyli się na wypoczynek pod drzewami, aby przebyć tam najupalniejsze godziny.

Jak tylko Piętaszek powrócił z bronią, Robinson uzbroiwszy się należycie, podbiegi ku trzem nieszczęśliwym, leżącym na brzegu morskim.

— Kto jesteście — zapytał.

Trzech przybyłych zerwało się na nogi w przestrachu, gotowi do natychmiastowej ucieczki.

Wtedy Robinson, chcąc ich uspokoić, powiedział po angielsku: — Nie bójcie się. Chcę was ocalić!

Uspokoili się natychmiast, a jeden z nich, chwytając dłoń Robinsona w swoje ręce błagał:

— Ratuj nas panie! ratuj!

— Skąd jesteście i co wam się przytrafiło takiego, żeście tak zrozpaczeni? — zapytał po raz drugi Robinson.

Wtedy jeden z nich opowiedział co następuje:

Jestem kapitanem załogi, oto mój majtek, a to jeden z podróżnych.

Załoga okrętowa zbuntowała się, wyrzuciła nas tu na brzeg, jak myśleli, bezludnej wyspy, a sami mają zamiar podzielić się bogactwami znajdującemi się na okręcie. Ci dwaj, moi towarzysze niedoli, trzymali moją stronę i za to razem ze mną skazani zostali na wygnanie.

— Czy chcecie mnie słuchać dopóki będziecie na tej wyspie? Czy odwieziecie mnie do Anglji, jeśli uda się nam zdobyć okręt i obezwładnić buntowników? Jeśli się na to godzicie, obiecuję was wyratować — powiedział Robinson.

— Będziemy panu posłuszni, zrobimy co nam każesz, tylko ratuj nas! — zawołał kapitan.

— Oto broń i strzelby, — rzekł do nich Robinson — bierzcie panowie... Wrogowie wasi śpią, zaskoczeni we śnie, nie potrafią się obronić, zwiążemy ich i zmusimy do posłuszeństwa.

Skierowawszy się w stronę lasku, gdzie leżeli uśpieni, Robinson rzucił się na jednego leżącego z brzegu i zakneblował mu usta, poczem związano go i zostawiono w spokoju.

Tożsamo zrobiono z pięciu uśpionymi, ale trzej ostatni, drzemiąc tylko, usłyszeli jakiś szelest i podnieśli się szybko, nasłuchując i patrząc, co się stało.

— Poddajcie się! — zawołał Robinson — Przejęci strachem, padli do nóg Robinsona.

— Łaski, łaski. — wołali, zwracając się też do stojącego obok kapitana.

Z rękami i nogami z wiązań emi wrzucono ich do

piwnicy niedawno odkrytej i zapowiedziano, że są strzeżeni i że pierwsze ich usiłowanie ucieczki będzie karane śmiercią.

Po zapowiedzeniu tego Robinson pobiegł z kapitanem do okrętu, zerwał żagiel, podziurawił go, aby nie mógł już służyć.

Koło godziny trzeciej po południu rozległ się huk armatni i ujrzano drugi statek zmierzający ku wyspie i poszukujący zbuntowanych marynarzy, którzy mieli połączyć się z przybyłymi i podzielić znajdującemi na okręcie skarbami. Na statku tym było dziewięciu ludzi uzbrojonych.

Podczas przyglądania się przybyłym kapitan oznajmił Robinsonowi, iż pomiędzy więźniami znajduje się trzech uczciwych, zmuszonych tylko przez przywódcę buntowników, Atkinsa do przejścia na ich stronę. Mogliby być teraz pomocni.

Piętaszek wraz z Robinsonem wyprowadzili z lochu trzech wskazanych więźniów i kapitan, po ostrem do nich przemówieniu, przebaczył im i polecił pomagać w walce z przybyłymi. Więźniowie ze łzami w oczach. przyrzekli posłuszeństwo i pomoc w walce.

Robinson uzbroił ich i odebrał przysięgę na wierność, poczem poszedł czuwać nad ruchami przybyłych.

Ci ostatni przebiegali brzeg morski, wołając swych towarzyszy, bojąc się wchodzić na wyspę, na której, jak przy puszczali zginęli ich współbuntownicy.

Obawiając się odpłynięcia ich bez wejścia na wyspę, Robinson kazał sprowadzić jednego z więźniów, który

stanąwszy pod drzewem miał wołać: — Jesteśmy tutaj. Idziemy!

Marynarze, słysząc wołanie podeszli bliżej, zapytując, — Gdzie jesteście?..

— Tutaj! tutaj! — wołano.

Podchodząc coraz to bliżej, buntownicy zostali otoczeni przez naszą gromadkę, a będąc strasznie zdziwieni i przerażeni pojawieniem się uzbrojonych ludzi w towarzystwie ich kapitana, padli do nóg, prosząc o łaskę.

Skrępowano ich i przeprowadzono do lochu. Za nimi przyszła reszta marynarzy, których prawie bez oporu obezwładniono.

Wszystkim obiecano przebaczenie, o ile okażą żal i przysięgną być wiernymi. Jednemu tylko przywódcy Atkinsowi nie można było winy darować.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ III.

Rozkazy Robinsona — Wyjazd kapitana po resztę opornych marynarzy — Radość z powodu możliwości dostania się do Marsylji — Kapitan chce mu ofiarować swój okręt — Powrót Hiszpana z ojcem Piętaszka — Prośba Anglików i Hiszpanów o pozwolenie pozostania na wyspie — Pożegnanie Robinsona — Wyjazd — Burza przy brzegach Marsylji — Utrata złota — Powitanie rodziców.

Robinson rozkazał buntownikom aby uznali z powrotem władzę swego kapitana i obiecali mu posłuszeństwo i pomoc w nakłonieniu pozostałych na drugim brzegu opornych do zaprzestania buntu.

Obiecali z wielką skruchą i pojechali po swych towarzyszy, których zmusili do posłuszeństwa kapitanowi i którym kapitan przebaczył, osiedlając jednak na czas jakiś na wyspie.

Robinson, wysławszy kapitana na drugi brzeg morza, z niepokojem oczekiwał jego powrotu. Napastowały go myśli, że nie wróci może po niego, że pojedzie drogą ku swej ojczyźnie.

W tak strasznych chwilach zwątpienia w szlachetność ludzką, rzucał się na kolana i wołał do Boga, żeby, o ile się tak stanie, jak myśli, dał mu siły do zniesienia tego ciosu.

Ale dosyć już miał cierpień, tęsknoty i kary za popełnione przed dwunastu laty nieposłuszeństwo, Bóg

miłosierny uważał, że nacierpiał się już dosyć, że za nierozwagę młodzieńczą ukarany był bardzo dotkliwie.

To też wrócił kapitan ze swym okrętem i chciał zaraz zabrać Robinsona i Piętaszka i wywieźć z wyspy.

Robinson jednak prosił, aby poczekać na Hiszpana i ojca Piętaszka, gdyż obiecał Hiszpanowi, że, o ile sam będzie stąd wyjeżdżał i jego ze sobą zabierze.

Przez czas oczekiwania, Robinson odwiedzał wszystkie zakątki wyspy, żegnał się z każdem drzewem i krzewem, z błękitem jasnego nieba i z cudnem złocistem słońcem.

Szlachetne serce Robinsona przywiązało się w swej niedoli do wszystkiego i teraz, chociaż dusza rwała się do ojczystego kraju. serce cierpiało z powodu wyjazdu z wyspy, która mu dużo chwil radości przyniosła.

Każdy szczegół budził w nim wspomnienia chwil radosnych odkrycia czegoś niezbędnego, nawet burza, która wybuchła podczas oczekiwania na Hiszpana przywiodła mu na myśl radość z otrzymania wskutek upadłego pioruna, tak pożądanego ognia.

Jego więc radość z projektowanego wkrótce wyjazdu do rodziny łączyła się ze smutkiem, z powodu opuszczania pamiątek swego pobytu na wyspie i widocznego czuwania nad nim Opatrzności.

Na żegnaniu wyspy i rozmowie z kapitanem czas przechodził szybko i przyszła chwila, że zawinęła łódź z Hiszpanem, ojcem Piętaszka, dwiema kobietami nieznanemi i jeszcze jakimś pasażerem, do brzegów wyspy Robinsona.

Z jakąż radością witał znów Piętaszek swego starego

ojca, jak cieszył się, że z nim jedzie do kraju Robinsona.

Dwaj Hiszpanie przybyli na łodzi, przywieźli ze sobą swe żony, prosząc Robinsona o pozwolenie osiedlenia się z niemi na wyspie.

Robinson zgodził się z największą chęcią, a obróciwszy się do znajdujących się na wyspie Anglików i Hiszpanów, wyrzekł te słowa:

Oddaję w posiadanie wasze wyspę tę całą. W ręce dwóch Hiszpanów kładę władzę rządzenia wyspą i moją rezydencją. Wszystka broń i amunicja do nich też będzie należała.

Wy wszyscy tutaj obecni winniście ich słuchać i za wyłamanie się z pod posłuszeństwa będziecie surowo karani.

Pracujcie wspólnie i gorliwie bez utarczek i niezgód. Dzielcie się sprawiedliwie zbiorami tej ziemi. Jeśli będziecie uczciwi i pracowici, czuć się będziecie szczęśliwymi, jak ja się czułem szczęśliwym przez tych lat dwanaście.

Powiedziawszy te słowa, Robinson odebrał przysięgę wierności i posłuszeństwa i odszedł aby się przygotować do wyjazdu.

Najpierw wybrał to wszystko z czem się nie chciał rozłączyć, a więc zabrać postanowił dwie ukochane lamy, papugę i psa. Z ubiorów zabrał pamiątkowy parasol, kapelusz, ubranie ze skór lamy, broń przez siebie zrobioną, zrobione przez siebie naczynia kuchenne i inne drobiazgi.

Prócz tego zabrał bryłę złota, klejnoty i pieniądze dla żony zmarłego marynarza, mundur oficerski i parę

pamiątkowych rzeczy.

Przygotowawszy wszystko, wyznaczono podróż na dzień najbliższy.

Robinson wraz z Piętaszkiem przyrządzili na pożegnanie wspaniałą ucztę dla wszystkich znajdujących się na wyspie. Częstowano wszystkiem tem, co było najlepszego w spiżarni. Wspaniale wina z okrętowych zapasów rozlewano w kielichy i częstowano wszystkich, zastawiono najpyszniejsze potrawy i weselono się do późna, ze smutkiem jednak myśląc o tem, że pana tej wyspy, szlachetnego i dobrego Robinsona nazajutrz nie będzie między nimi.

Wieczorem Robinson przed ułożeniem się na spoczynek rzucił się na kolana przed krzyżykiem zawieszonym na ścianie i w żarliwych słowach dziękował Bogu za swe ocalenie i możność powrotu.

Nigdy bardziej wdzięczna modlitwa nie płynęła z ust ludzkich nad tę z ust biednego rozbitka ku niebiosom się unoszącą...

Łzy bezmiernej wdzięczności spływały po licach Robinsona, napełniając Piętaszka również przeświadczeniem, że gdyby nie ten modlący się tak żarliwie, nie byłby już na tym świecie...

Na drugi dzień rano Robinson, paru Hiszpanów, Piętaszek, jego ojciec i kapitan opuścili wyspę Robinsona, żegnani i przeprowadzani do samego brzegu.

Z pokładu okrętu spoglądał jeszcze Robinson na swą ukochaną wyspę i odpowiadał na okrzyki pożegnania tych co pozostali.

Wyspa zdawała się coraz mniejszą, poczem zamieniła się w mały punkcik, aż znikła z oczu zupełnie.

W cztery tygodnie po odpłynięciu przybito do portu ku wielkiemu zadowoleniu tych, którzy pragnęli wrócić do swej ojczyzny.

Robinson rozpoczął poszukiwania wdowy po zmarłym marynarzu, aby wręczyć jej pozostałe po mężu klejnoty i pieniądze.

Znalazł ją wraz z czworgiem dzieci w bardzo przykrem położeniu materjalnem i łatwo zrozumieć jej radość z powodu otrzymania pokaźnej sumy i wdzięczność za szlachetny uczynek Robinsona.

Po wypełnieniu tego obowiązku ruszyli w dalszą drogę ku Anglji.

W drodze do Anglji spotkał ich wypadek bardzo smutny. Biedny Czwartek, ojciec Piętaszka zachorował ciężko i nic go nie było w stanie uratować.

Umarł na rękach zrozpaczonego syna, którego przez długi czas nic pocieszyć nie było w możności.

Wrzucono ciało do morza i długo wspominano dobrego, cichego starca, który nikomu nie był zawadą, przeciwnie starał się o ile możności każdemu w czemś dopomódz.

Przybywszy do Anglji, Robinson wyszukał kupca, któremu zwrócił zachowane i zabrane z rozbitego okrętu złoto i wysłuchał od niego mnóstwo niezliczonych błogosławieństw i podziękowań za zwrot całego jego majątku.

Natychmiast spłaciwszy długi, rozpoczął handel nanowo, we wspomnieniach swych przez całe życie zachowując

postać i imię zacnego Robinsona.

Z Londynu wyruszyli do Marsylji. Robinsonowi wyjazd do ziemi ojczystej zdawał się być snem tylko. Nie mógł pojąć, że naprawdę jedzie do swych ukochanych, że stopą swą dotknie ziemi rodzinnej, że ucałuje drogie dłonie rodziców.

A jeśli nie żyją? Jeśli zgryzota z jego powodu zabiła te szlachetne istnienia! O, Boże! lepiej nie wracać, jeśliby tak było...

Coraz bardziej zbliżano się do Francji... Oto wyspa If, ta urocza ustroń, wiecznie kwieciem pokryta... Oto znajome a już widoczne szczyty wieży kościelnej!..

Naraz burza straszliwa, tak, jak wtedy, przed laty dwunastu miotać poczęła okrętem i na wszystkie go rzucać strony.

Uratowali życie, ale dużo rzeczy zatonęło w głębokościach morskich. Dopłynęli do brzegu, ale dwóch lam nie było. Biedaczki utonęły w falach! Złota bryła również znikła gdzieś podczas burzy, zapewne na dnie morza spoczęła.

Robinson więc wracał do swego kraju tak ubogi, jak i przedtem.

Ale nie obchodziła go utrata złota, — bogatszym był nad wszystkie bogacze, bo miał ziemię ukochaną pod swojemi stopy, bo oddychał ojczystem powietrzem, bo najdroższe dłonie rodziców miały go wkrótce do serca przytulić!...

Rozdzwoniły się dzwony Marsylji na powitanie wracającego Robinsona, rozjaśniły się poranną zorzą niebiosa na powrót i wieże domów i szczyty kościołów

ozłociły się promieniami słońca, aby go w szacie godowej powitać.

Biegł przez dobrze znane ulice z tęsknotą w sercu i z rozpaczą, że może ich, tych najukochańszych już nie zastanie...

Wszedł, roztworzył drzwi gabinetu ojca i cóż ujrzał?

Podniosły się z fotelów dwie ze srebrnemi włosy postacie i z okrzykiem radości rzuciły się ku Robinsonowi.

Utuliły go w objęciach i stęsknionemi usty ucałowały rozbitka.

A on upadł do stóp ich i witające dłonie całował...

Długie, długie tygodnie nie opowiadano o niczem innem w Marsylji, jak o powrocie Robinsona i jego przygodach.

Piętaszek, przyjęty serdecznie, pozostał przy swym wybawcy, Robinsonie.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

CZĘŚĆ VI.

ROZDZIAŁ I.

PO POWROCIE DO KRAJU.

Robinson ma byt zabezpieczony — Śmierć rodziców — Nowa chęć do podróży — Wyszukanie kapitana, który Robinsona przywiózł do Marsylji — Ożenienie się Robinsona — Wyprawa w celu zapomnienia o nieszczęściu.

ROZDZIAŁ II.

Wyjazd Robinsona do Brazylji — Jazda konna przez lasy — Spotkanie z wilkami — Taniec Piętaszka z niedźwiedziem — Przerażenie Piętaszka na widok śniegów i obawa zmarznięcia — Przybycie do Londynu — Sprzedaż wyspy — Chęć spędzenia reszty życia w Marsylji — Robinson się żeni — Śmierć żony — Rozpacz Robinsona i projekty nowego wyjazdu.

ROZDZIAŁ III.

Odwiedziny wyspy — Radość Piętaszka na widok swych stron ojczystych — Wyjazd z wyspy po

dwudziestodniowym pobycie — Napad dzikich na morzu — Bitwa — Śmierć wiernego Piętaszka — Ucieczka dzikich — Pogrzeb Piętaszka — Wyjazd na Madagaskar i Przylądek Dobrej Nadziei — Okrucieństwo załogi — Przestrogi Robinsona i pozostawienie go za ta na wyspie Madagaskar — Podróż do Chin.

ROZDZIAŁ IV.

Wyprawa Robinsona do Bengalu, Mongolji, Chin — Utarczki z Tatarami — Obalenie bożka — Ucieczka pośród strzelaniny — Otrzymanie rany bolesnej — Szybki powrót do zdrowia — Pobyt w Archangielsku i Tobolsku — Korzystny handel futrami — Wyjazd na Syberję — Straszliwe mrozy — Zapoznanie się z wygnańcami — Potajemna ucieczka jednego z zesłanych książąt wraz z Robinsonem — Pobyt na Syberji przez sześć miesięcy — Zdobycie majątku przez handel — Powrót do Francji po dziesięciu latach nieobecności — Postanowienie spędzenia końca życia w ciszy domowej.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ I.

PO POWROCIE DO KRAJU.

Robinson ma byt zabezpieczony — Śmierć rodziców — Nowa chęć do podróży — Wyszukanie kapitana, który Robinsona przywiózł do Marsylji — Ożenienie się Robinsona — Wyprawa w celu zapomnienia o nieszczęściu.

Odpocząwszy w swym kraju, pod troskliwą opieką ukochanych rodziców, Robinson postanowił wyszukać kapitana, którego tak szczęśliwie udało mu się wyrwać z rąk buntowników.

Po długich poszukiwaniach, natrafił w końcu na ślad jego bytności i z okrzykiem radości został przez niego przyjęty.

Spotkała tu Robinsona niespodziewana zupełnie owacja. Wdzięczny kapitan, pamiętając o zasługach Robinsona i jego wielkich zdolnościach rządzenia, przedstawił go za kwalifikującego się do nagrody za odkrycie i uprawianie przez lat dwanaście nieznanej dotąd wyspy i za waleczność w odpieraniu nieprzyjaciół i uśmierzaniu buntowników.

Pieniądze otrzymane ucieszyły go bardzo, bo, jak wiemy, wrócił z niczem, gdyż bryła złota utonęła podczas burzy przed samem zawinięciem do portu.

Handel prowadzony przez rodziców musiał być zamknięty, staruszkowie, zaniedbali go, długi wzrastały, towaru bez pieniędzy nikt dać nie chciał i byliby spadli na

dno ostatecznej nędzy, gdyby nie Robinson, który postanowił pracować, aby dać byt dostatni rodzicom, a i sobie zapewnić egzystencję.

Otrzymanie dużej sumy pieniężnej z rąk kapitana odrazu postawiło go na stanowisku wypłacenia się rodzicom za koszty na niego kiedyś poniesione.

Otoczył ich troskliwą opieką i dostatkiem, dobrocią umilał im życie, tak bardzo wskutek przejść bolesnych stargane i pragnął, żeby tak było długo, żeby mógł swymi staruszkami cieszyć się i opiekować.

Ale los zawistny nie dał mu tego szczęścia. Rodzice Robinsona bardzo szybko chylili się ku mogile.

Posiwiały przedwcześnie głowy, zniedołężniały nogi, zatraciła się pamięć, niegdyś bardzo żywa...

Ze smutkiem patrzył Robinson na tą szybką w nich zmianę i gdyby nie Piętaszek uspokajający wciąż i zawsze bardzo go kochający i życzliwy, byłby poddawał się rozpaczy.

Nadeszła wreszcie ze zgrozą oczekiwana chwila.

Pewnego dnia biała głowa zacnego starca pochyliła się na pierś nieruchoma a usta wydały ostatnie tchnienie... Zaledwie zdołały wyszeptać dla ukochanego syna błogosławieństwo.

Matka przeżyła swego męża tylko o dni kilka.

Cóż za boleść dla Robinsona! Zaledwie, po tak długiej rozłące zeszedł się z ukochanymi, zaledwie zaczął im miłością swą i dostatkiem odpłacać się za trudy dla niego poniesione — stracił swych umiłowanych i oto pozostał znów, jak na wyspie sam ze swym towarzyszem

Piętaszkiem.

Załamały się rozpacznie dłonie u Robinsona, upadł na duchu a serce zdawało się już pękać, gdy tych najdroższych, których chciał mieć do końca swego życia, ziemi oddać musiał...

Ale serce ludzkie dużo potrafi wytrzymać. Nie pękło mu serce, nie poszedł za rodzicami do ziemi, ból został i pozostała tęsknota, ale uspokojenie przyszło i Robinson zaczął myśleć o swym bycie i o zapewnieniu sobie na stare lata ciepłego kąta.

Piętaszek był mu zawsze wiernym i nieodstępnym przyjacielem, pracownikiem sumiennym i czujnym na wszystko opiekunem.

Chłopiec ten, jak go zwał jeszcze dotąd Robinson, miał wprawdzie już lata dojrzałe, ale dzieckiem był wciąż, wszystkiemu się dziwiącem i za wszystko bez granic wdzięcznem.

Patrzał na Robinsona, jak na swego wybawcę i ojca, zdawał się podsłuchiwać jego myśli, aby natychmiast to spełnić, czego ten wchęci, tylko tajemnej zażądał.

Wierniejszej i szlachetniejszej duszy, wierniejszego serca, nad serce tego czarnego towarzysza, nie znalazłby Robinson.

To też przywiązał się do niego, nie jak do sługi, ale jak do brata i ze wszystkiem mu się zwierzał i każdą troską i radością z nim się dzielił.

Smutek Robinsona po stracie rodziców był tem większy, że na każdym kroku stykał się z czemś ich przypominającem.

Łzy padały mu z oczu na widok różnych drobiazgów ręką ukochanej matki dla niego wykonanych, płakał schylony nad książkami, które ojciec jego odczytywał i w których różne zdania kojące ból po ucieczce syna znajdował.

Wzruszała go ręką matczyną zawieszona fotografja, wtedy, gdy miał lat kilka zaledwie... Wszystko, wszystko, rozdzierało mu serce, rozkrwawiało jego rany.

Co miał począć?.. Pozdejmować ze ścian portrety, pousuwać fotele i sprzęty przez nich używane?.. Tego nie mógł wykonać...

Pozostało mu uciec od tych miejsc wspomnienia i choć czas jakiś być zdała od tego, co sprawiało ból i napełniało rozpaczą.

A że Robinson nie wyzbył się jeszcze chętki podróży, że mieszkało w nim wciąż zamiłowanie do zwiedzania obcych krajów, postanowił zabić w sobie wspomnienie wyjazdem na jakiś czas z Marsylji.

Zwierzył się więc z tem Piętaszkowi, który wieść o wyjeździe przyjął okrzykami radości i zaraz chciał się do podróży przygotowywać.

Cieszyła go nietylko wyprawa z powodu zamiłowania do wędrówek, ale i ze względu na Robinsona, o którym wiedział, że łatwiej zapomni: przeboleje stratę rodziców gdzieś na obczyźnie, jak tutaj.

Ale Robinson, mający zamiar zwiedzić wyspę, na której tyle lat przebywał, postanowi! wywiedzieć się przedtem, jak się tam rządzą, kto rządzi i jakie zyski mają ci, którym swe interesa zostawił.

Odpowiedź zaraz nadeszła i to bardzo dla niego pomyślna.

Robinson był panem pokaźnego majątku. Dziesięć tysięcy funtów sterlingów otrzymał z banku, jako udział, tysiąc zaś funtów sterlingów otrzymał za dzierżawienie wyspy od dzierżawcy.

Dowiedział się również, że ci, których zostawił na wyspie, jako zarządców, dawno umarli, są nowi, którzy zupełnie tak, jak Robinson polecił, uprawiają wyspę i rządzą.

Uradowany Robinson postanowił pojechać okrętem i doczekawszy się stosownej chwili, kiedy okręt wyruszał do Brazylji, wybrał się już prawie w drogę. Nawet walizy i kosze z rzeczami, i pożywieniem dla siebie i Piętaszka były już na okręcie złożone. Ale w ostatniej chwili, na godzinę przed odjazdem, głos jakiś wewnętrzny, jakieś groźne przeczucia nieszczęścia, kazały mu zabrać pakunki z okrętu i przenieść je na inny, też do Brazylji wyruszający.

Opatrzność, która wciąż nad nim czuwała, ostrzegła go przed wsiadaniem i na ten okręt. Coś odpychało go przed wyruszeniem w drogę i to do tego stopnia, że on, tak kochający morze, postanowił nie jechać niem, zabrał i stąd swoje rzeczy i wrócił do domu.

Zamiarem jego było teraz jechać lądem. Dobrze zrobił Robinson, że głosu wewnętrznego posłuchał.

Dowiedział się wkrótce, że pierwszy z okrętów, do Brazylji jadących, został zabrany przez korsarzy, drugi rozbiwszy się o podwodne skały, podróżnych w falach morskich pogrzebał.

Jakżeż wdzięcznym był Robinson Bogu, za to wewnętrzne ostrzeżenie i jak utwierdzał wszystkich w tem przekonaniu, że przeczuciom wierzyć się powinno.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ II.

Wyjazd Robinsona do Brazylji — Jazda konna przez lasy — Spotkanie z wilkami — Taniec Piętaszka z niedźwiedziem — Przerażenie Piętaszka na widok śniegów i obawa zmarznięcia — Przybycie do Londynu — Sprzedaż wyspy — Chęć spędzenia reszty życia w Marsylji — Robinson się żeni — Śmierć żony — Rozpacz Robinsona i projekty nowego wyjazdu.

Wziąwszy przewodnika, doskonale znającego drogę lądową do miasta, w którem Robinson miał dowiedzieć się jeszcze dokładniej o stanie swych interesów i rządzeniu wyspą, Robinson dosiadłszy konia i kupiwszy też Piętaszkowi doskonałego wierzchowca, wyruszył w daleką ale bardzo dlań miłą podróż.

Jakież jednak było zdziwienie i rozczarowanie Robinsona a rozpacz nie znającego widoku śniegów Piętaszka, gdy przejechawszy kawałek drogi, spotkali góry pokryte całkowicie śniegiem a zimny wiatr zaczął się im dawać we znaki.

Robinson również nienawykły do mrozów, nie wiedział, co robić, tembardziej, że straszliwe zaspy śnieżne, wysokości człowieka nie pozwalały na dalszą podróż.

Właśnie w tym czasie, gdy Robinson wraz Piętaszkiem odpoczywali w zajeździe, namyślając się co z sobą robić, weszło trzech oficerów francuskich, również w strony dalekie wyjeżdżających i oświadczyło gotowość jazdy

wspólnej, tembardziej, że posiadając doskonałego przewodnika, pewni są, że ich bezpiecznie przeprowadzi.

Robinson z największą chęcią zgodził się na natychmiastowy wyjazd, powierzając z ufnością życie swoje i Piętaszka, znającemu drogę przewodnikowi.

Jakiś czas przejazd był spokojny i bez przeszkód, ale naraz, gdy wjechali wgłąb lasu, wypadły znienacka trzy ogromne wilki, z których jeden wskoczył z szybkością błyskawicy na konia przewodnika i zaczął szarpać oszołomionego tą napaścią i nie mogącego wyjąć pistoletu człowieka.

Krzyk rozpaczliwy napadniętego, który oddalił się był od reszty towarzystwa, sprowadził resztę podróżnych.

Piętaszek celnym strzałem powalił rozjuszonego wilka, dwa zaś pozostałe widząc martwego napastnika, natychmiast umknęły do lasu.

Na odgłos strzału las rozbrzmiał straszliwem wyciem i naraz wszystko ucichło. Nie napadały już więcej.

Pozostawiły jednak niegodziwe stworzenia ból i jęk nieszczęsnego przewodnika, którego pogryzły dotkliwie w nogę i ramiona.

Śpieszono się do miasta, żeby módz czemprędzej ulżyć jego cierpieniom, poradziwszy się którego z lekarzy, gdy naraz zpoza drzew wysunął się olbrzymi niedźwiedź.

Szedł poważnie, nie patrząc nawet na podróżnych. Widocznie był nasycony, gdyż w przeciwnym razie rzuciłby się na którego z jadących.

Niedźwiedź bowiem nie ruszy nikogo, jeśli nie jest głodny i udaje, że nie widzi człowieka. Głód lub zaczepka

ze strony człowieka zmuszają go tylko do obrony.

Ze spotkanym tutaj byłoby tożsamo. Chciał przejść z godnością, nie ruszywszy nikogo.

Ale Piętaszkowi przyszło do głowy, żeby rozweselić podróżnych.

Podbiegł więc do Robinsona i błagalnemi słowami, zaczął prosić, żeby mu pozwolił zabawić się z niedźwiedziem... Patrzał przytem tak prosząco na swego pana, że ten, wprawdzie perswadując, pozwolił mu zwierzę zaczepić.

Piętaszek podszedłszy do niedźwiedzia zaczął nań wołać, prosząc, żeby do niego przyszedł.

Niedźwiedź nie zwracając na niego uwagi, spokojnie szedł dalej, nie patrząc na śmiałka.

Wtedy Piętaszek rzucił weń kamykiem. Kamyk ugrzązł w sierści kudłatej zwierzęcia i nie tknął go nawet, ale obraził.

Widział niedźwiedź ruch zaczepny Piętaszka, wyczuł chęć obrażenia go. Ogromnemi krokami, tak dużemi, jak galop konia biedz począł ku śmiałemu człowiekowi.

Robinson przeraził się o życie Piętaszka. Ten ostatni biedz począł szybciej od niedźwiedzia ku.podróżnym, jakby u nich szukając ratunku.

Już miał Robinson na ustach wyrazy oburzenia na lekkomyślnego, jak mu się zdawało, towarzysza, gdy naraz Piętaszek wskoczył jak wiewiórka na drzewo, umieścił się na gałęzi i wołać począł na zwierzę: — Chodź! chodź! będziemy tańczyli!

Niedźwiedź obwąchał leżącą u stóp drzewa fuzję,

obszedł drzewo wokoło i z podziwem patrzących wskoczył na gałąź.

Wtedy Piętaszek całą siłą zaczął zginać konary drzewa, każąc w ten sposób podnosić się i opadać ku dołowi swemu przeciwnikowi.

Niedźwiedź zdumiony poddawał się temu przymusowemu tańcowi, nie mogąc temu oponować.

Trwało to czas jakiś, poczem Piętaszek skoczył zręcznie na ziemię, złapał fuzję i nie zważającemu na ten ruch niedźwiedziowi wypalił w samo ucho, kładąc go trupem.

Podróżni przyklasnęli sztuce zabijania tak zręcznego niedźwiedzi, praktykowanego u dzikich i natychmiast puścili się w drogę, chcąc dać pomoc nieszczęśliwemu przewodnikowi, którego stan był rozpaczliwy.

Przybywszy do najbliższego miasta, umieścili go w szpitalu, gdzie otoczony troskliwą opieką wkrótce przyszedł do zupełnego zdrowia.

Nie towarzyszył naszym podróżnym już jednak w dalszej drodze, czekać bowiem na jego wyzdrowienie nie byli w możności.

Pojechawszy na miejsce, wywiedział się Robinson o losach odkrytej przezeń wyspy, odebrał należność z banku i powrócił wraz z swym wiernym towarzyszem do Marsylji.

Zapomniał trochę o swych smutkach i tęsknocie, bo czas goi rany najskuteczniej, ale obraz staruszków stawał mu jeszcze często przed oczami i o samotności mu przypominał.

Robinson postanowił się ożenić. Mógł byt zapewnić rodzinie, dlaczegóżby miał nie wprowadzić do domu życia i

czemuż pozbawiaćby się miał domowego ogniska?

Był bardzo szczęśliwy. Miał zacną i dobrą żonę i troje ukochanych dzieci.

Nie brakowało mu niczego do szczęścia. Nieraz bawił się sam jak dziecko, klejąc z papieru okręty i zaprawiając zabawą tego rodzaju dzieci swe do morskich podróży.

Widział w jednym ze swych synów namiętność do słuchania o wyprawach i chęć zostania marynarzem.

Mały ten chłopiec, zamiast zająć się jakąś odpowiednią swemu wiekowi hałaśliwą zabawą, budował nieudolne papierowe okręciki i po całych godzinach słuchałby różnych opowieści.

Robinson cieszył się tem domowem szczęściem i rad w domu przebywał, nie myśląc zupełnie o żadnych podróżach i przygodach.

Ale Bóg go wkrótce zasmucił. Stracił po dziesięciu latach spokojnego i szczęśliwego życia wielce ukochaną swą żonę.

Tęsknota jego za zmarłą była tak wielka, że nawet widok dzieci ukoić jej nie był wstanie.

Postanowił uciec stąd jaknajdalej, wyruszyć w odległe kraje, a wyzbywszy się tęsknoty wrócić i zająć się dziećmi.

Skorzystawszy z tego, że siostrzeniec, którym się po powrocie z wyspy zaopiekował i wykierował na marynarza, jechał do Brazylji, postanowił odwiedzić swą wyspę i tam smutek swój, który mu się zdawał być nieuleczalny, zatopić.

Powierzywszy zacnej wdowie po kapitanie opiekę nad dziećmi i całym domem i zapewniwszy wszystkim

utrzymanie dostatnie, umówił się ze swym siostrzeńcem, że w styczniu 1695 roku wyjedzie wraz ze swym towarzyszem Piętaszkiem na swą wyspę.

Dnia ósmego stycznia wyruszył nad brzeg morski i niezadługo fale uniosły okręt daleko, daleko, poza Marsylję.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ III.

Odwiedziny wyspy — Radość Piętaszka na widok swych stron ojczystych — Wyjazd z wyspy po dwudziestodniowym pobycie — Napad dzikich na morzu — Bitwa — Śmierć wiernego Piętaszka — Ucieczka dzikich — Pogrzeb Piętaszka — Wyjazd na Madagaskar i Przylądek Dobrej Nadziei — Okrucieństwo załogi — Przestrogi Robinsona i pozostawienie go za ta na wyspie Madagaskar — Podróż do Chin.

Zabrawszy z sobą dużo sprzętów, naczyń, przytem umówiwszy różnych rzemieślników, wyjechał Robinson ku miejscu, gdzie lat tyle przebywał i gdzie dużo miłych i smutnych wspomnień pozostawił.

Przybywszy tam został powitany z radością i przez dni dwadzieścia przebywał tam, ciesząc się swem dziełem i szacunkiem powszechnym, jaki go tam otaczał.

Piętaszek już zdala zobaczywszy miejsce swe rodzinne a potem wyspę, na której był przez Robinsona wyratowany, tańczył i śpiewał z radości, rzucając się co czas jakiś na szyję Robinsona i dziękując mu za sprawioną radość.

Po dniach tu przebytych Robinson postanowił powracać z Piętaszkiem w kierunku Indji, ale nieprzewidziany wypadek przeszkodził mu temu i gdzieindziej skierował jego zamiary.

W chwili, gdy podróżni nasi znaleźli się na pełnem

morzu, ze wszech stron otoczyły ich łodzie z dzikimi ludożercami, którzy zaczęli wypuszczać z łuków strzały, w kierunku Robinsona i Piętaszka.

Było to to samo plemię, które niegdyś na wyspie utraciło dwudziestu jeden ucztujących. Kto wie, czy to nie była zemsta za zabicie ich towarzyszy i czy nie wypatrywali oni oddawna sposobności pomszczenia swych współkrajowców.

Robinson nie chciał bitwy, kazał wywiesić białą flagę na znak pokoju, a gdy to nie pomagało, wysłał Piętaszka, aby w rodowitym języku przemówił do tych dzikusów, tłomacząc im o pokojowych swych zamiarach.

Zaledwie Piętaszek skończył swoją przemowę, grad strzał wypadł na nieszczęśliwego i powalił go martwym na pokład.

Widząc to Robinson, w zapamiętałej rozpaczy kazał wywieść armaty i wszystkiemi kulami wystrzelać zbrodniarzy.

Umknęły wnet łodzie ludożerców, uspokoiło się w koło, pozostał sam Robinson nad zgasłym swym przyjacielem i załamawszy ręce oddawał się najstraszliwszej z boleści...

Bo oto utracił naraz najwierniejsze z serc, najszlachetniejszego przyjaciela, najlepszego brata i towarzysza...

Był mu wszystkiem na wyspie bezludnej, był mu wszystkiem i tutaj, gdy opuścili go na zawsze rodzice, gdy odeszła do grobu małżonka i gdy pozostał nieszczęśliwy i złamany.

Ileż to razy zacny ten chłopak, widząc Robinsona

stroskanym, przytulał się do niego i błagał, aby się rozweselił i zapomniał. Ile razy objąwszy go za szyję, wraz z nim płakał nad utraconymi.

A dziś oto leży nieruchomy i martwy i pobladłe usta nie będą już uspokojały Robinsona i bezwładne ręce nie obejmą już jego szyi...

Płacz Robinsona rozlegał się długo w nocy i smutkiem napełniał serca współtowarzyszy.

Odciągnięto go nareszcie od Piętaszka i postanowiono go jaknajprędzej pochować, aby widok zmarłego nie napełniał taką rozpaczą sierocego serca Robinsona.

Wrzucono go przy odpowiednich modłach do morza i pozostały po szlachetnym Piętaszku tylko ból Robinsona i wspomnienie dobroci nieocenionego sługi i przyjaciela.

Smutny ten wypadek odwrócił myśl Robinsona od podróży do Indji. Marzył o niej za życia Piętaszka, teraz postanowił albo powrócić do kraju, albo też dokądindziej wyruszyć.

Pojechał więc ze swym siostrzeńcem na Madagaskar, gdzie spotkała go niefortunna i niespodziewana przygoda.

Oto mieszkańcy tutejsi, w sprzeczce z jednym z marynarzy dopuścili się na tym ostatnim morderstwa.

Oburzeni do najwyższego stopnia jego towarzysze, nietylko wymordowali mieszkańców domu, z którego zabójca pochodził, ale jeszcze podpalili miasteczko i dużo domów puścili z dymem.

Robinson ostremi słowy gromił mścicieli i dużo im przykrych słów powiedział, nazywając ich poprostu zbójami i mordercami.

Rozgniewało ich to wtrącenie się Robinsona do tego stopnia, że zapowiedzieli mu, iż albo odmówią kierowania okrętem, albo go na okręt nie wpuszczą. Niech zostaje tutaj na lądzie i niech czeka na sposobność wyjazdu.

Robinson nie chciał temu wierzyć, ale gdy przyszła chwila wyruszenia w podróż i Robinson chciał iść na pokład, zastąpili mu drogę marynarze i kazali się cofnąć.

Ledwie uprosił, żeby mu przyniesiono jego pakunki i wezwano niewiedzącego o niczem siostrzeńca.

Wezwany siostrzeniec nic na to całe nieszczęście nie mógł poradzić. To tylko zrobił, że zaopatrzył Robinsona w pieniądze i obiecał o ile możności wpłynąć na usposobienie marynarzy, aby odmienili swe niegodne postanowienie.

Nie pomogło wstawiennictwo, ze łzami w oczach pożegnał Robinsona i odpłynął do kraju, do którego też myśli Robinsona dążyły.

Został znowu samotny jak na tej bezludnej wyspie, na którą go morskie zaniosły bałwany...

I tak samo smutny i nieszczęśliwy i w Bogu tylko ufność pokładający... Biedny, biedny Robinson!...

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

ROZDZIAŁ IV.

Wyprawa Robinsona do Bengalu, Mongolji, Chin — Utarczki z Tatarami — Obalenie bożka — Ucieczka pośród strzelaniny — Otrzymanie rany bolesnej — Szybki powrót do zdrowia — Pobyt w Archangielsku i Tobolsku — Korzystny handel futrami — Wyjazd na Syberję — Straszliwe mrozy — Zapoznanie się z wygnańcami — Potajemna ucieczka jednego z zesłanych książąt wraz z Robinsonem — Pobyt na Syberji przez sześć miesięcy — Zdobycie majątku przez handel — Powrót do Francji po dziesięciu latach nieobecności — Postanowienie spędzenia końca życia w ciszy domowej.

Przebył Robinson na lądzie dziesięć smutnych miesięcy, rozmyślając w jaki sposób wydostać się stąd do kraju.

Zostawił mu jego siostrzeniec sługę i swego intendenta do towarzystwa i na rozmowach z nimi spędzał Robinson swe życie.

Razu pewnego, jeden z jego towarzyszy, mianowicie ów intendent siostrzeńca, zwrócił się do niego z zapytaniem, czyby nić chciał wyjechać z nimi razem do Chin, Bengalu, Mongolji, aby zbyć posiadane towary i nabywszy inne wywieźć je do Syberji.

Robinson miał barwne materje, złotem tkane jedwabie i różne kosztowności, zgodził się na projekt i szybko przygotowywać się do tej wyprawy poczęli.

Przygotowania zajęły dużo bardzo czasu. Trzeba było

postarać się o konie, wielbłądy, o ludzi chcących się do nich przyłączyć i o przewodnika.

W końcu postanowił naprzód popłynąć okrętem ku Chinom, poczem nabywszy tam towaru wyruszyć z karawaną do Mongolji i Syberji.

Wyszukano więc okręt, który miał zawieźć do Chin, umówiono oddanych sobie ludzi, znających ich język rodowity i kraje, do których jechali, wyszukali sobie nawet marynarzy i w znajomem już otoczeniu wypłynęli na bezmierne morze.

Robinson był bardzo z tej podróży zadowolony. Wysiedział się dosyć na lądzie, a jego usposobienie żądne przygód nie nadawało się do siedzenia spokojnie w domu.

Dojechawszy szczęśliwie do Chin, przez czas bardzo krótki wyprzedali swoje towary, załatwili swe interesa i zakupiwszy mnóstwo wspaniałych tkanin postanowili, zanim w dalszą drogę wyruszą, przyjrzeć się różnym dziwnym budynkom w Chinach i po-znać ten tajemniczy naród.

Chińczycy w owym czasie byli bardziej jeszcze ukrywający się ze wszystkiem, jak. obecni mieszkańcy tego państwa.

Nie pozwalali nawet zbliżyć się do budynków swoich, a już co do wejścia do wnętrza, to i mowy o tem nie było. Śmierciąby ten śmiałek został ukarany, któryby się na to odważył.

Wiedział o tem Robinson i jego towarzysze i nie pilno im było do śmierci, która i bez awanturniczych przygód, wszak do każdego kiedyś zawita.

Nie kwapili się więc do wchodzenia do środka słynnej pagody, tj. świątyni chińskiej, zbudowanej całkowicie z porcelany, lecz zbliżywszy się na koniach o paręset kroków od budynku, przypatrywali się jej do syta.

Nie było to nic bardzo pięknego ani nadzwyczajnego. Dom ulepiony z glinki porcelanowej — oto cała sztuka!

Uśmieli się podczas tego oglądania pagody należycie, gdy jeden z Chińczyków, ich przewodnik zaczął opowiadać niebywałe rzeczy o ich talencie wyrabiania wszystkiego z porcelany.

Co to dom! Zbudować umieją Chińczycy i okręt porcelanowy.

Opowiadał o jednym majstrze, który nibyto zbudował okręt z porcelany i wypuścił go na morze. I okręt popłynął w dalekie kraje i był z powrotem nic a nic nie uszkodzony!

Takie i temu podobne kłamstwa słyszał nieraz w Chinach Robinson, bo Chińczycy słynni są ze zmyślania różnych, przeróżnych historji...

Napatrzywszy się dostatecznie różnym osobistościom chińskim, zaopatrzono się w pożywienie, konie, wielbłądy, w przewodników i współtowarzyszy podróży i pewnego pięknego poranku puszczono się w drogę.

Karawana ich składała się z mnóstwa koni i wielbłądów, podróżnych było też paręset osób, zwoływano się ze wszystkich stron,, aby raźniej i bezpieczniej było jechać w większem towarzystwie. Częste bowiem napady dzikich Tatarów zastraszały podróżnych.

Już w drodze spotykały naszą karawanę hordy dzikich plemion, ale usuwały się one ze strachem, widząc dobrze

uzbrojonych i gotowych do walki ludzi.

Gdy byli już prawie na pół drogi do miejsca, gdzie towary ich kupionoby z wielką chęcią, otoczyła karawanę gromada rozbijających po drodze Tatarów i gotowa była na nią się rzucić. Powyciągała już dzicz strzały, napięła łuki i parę strzał zaświstało nad głowami naszych podróżujących.

Odpowiedziano im kulami, które tak przeraziły Tatarów, że uciekli, nie próbując już więcej zaczepek.

Przybywszy szczęśliwie do miasta, gdzie miano zbyć korzystnie towary, załatwiono bardzo szybko swe interesa a zakupiwszy futer i innych rzeczy, których w Mongolji wtedy nie było, ruszono w dalszą drogę.

Przejeżdżając przez osady mongolskie zauważyli jakąś straszliwą figurę, zrobioną z drzewa i pomalowaną w różne kolory.

Figura ta wmurowana w ziemię, miała na ohydnej głowie rogi, uszy długie zwierzęce i obwieszona była paciorkami, składanemi widocznie w ofierze.

Na ziemi, u nóg tej obrzydłej figury leżały postacie ludzkie, wzywające ratunku i błagające niezrozumiałemi słowami straszydła.

Na odgłos kroków ludzkich kilku podróżnych, porwało się z ziemi, oburzonych za przerwanie ich modłów.

Robinson wraz z dwoma innymi towarzyszami podróży, po odejściu modlących się dzikusów, rozbił głowę bożkowi i zamierzał go całkiem rozwalić, ale widok nadbiegających na ratunek straszydłu Mongołów powstrzymał go od tego zamiaru. Nie mogąc znieść jednak tego, aby obrzydliwemu bożkowi cześć ludzie oddawali, zakradli się w nocy i

podpalili figurę.

Sądzili, że dzicy ludzie, uznający w bożku tylko moc i potęgę, ujrzawszy spalonego, odstąpią od tego wierzenia i łatwiej ku prawdziwemu Bogu się zwrócą.

Na widok płonącego straszydła rzucili się poganie do ratowania, ale nic nie pomogło. Z bożka, przed którym padali na ziemię i którego błagali o pomoc pozostała garść popiołu i trochę niedopalonych ozdób żelaznych.

Nazajutrz cala gromada pogan wyruszyła na skargę do gubernatora, obwiniając o ten czyn występny przechodzącą tamtędy karawanę.

Domagano się surowego ukarania winnych, w przeciwnym bowiem razie dojdzie w mieście do krwawych zamieszek.

Gubernator okazał się bardzo rozsądnym i dla karawany życzliwym. Nie wierzył w spalone przez Robinsona drewno, wyobrażające bożka, czuł całą ohydę podobnego ubóstwiania i postanowił nie karać lecz ocalić niszczycieli.

Wezwawszy więc przywódców karawany, poradził, aby wyruszono czemprędzej w dalszą drogę, nie powstrzyma bowiem krwawej pomsty, o ile nie zdołają zejść z oczu rozszalałego tłumu.

Podziękowano za względy i wyruszono jaknajszybciej. Po dwóch dniach drogi spostrzeżono jednak nadciągające gromady uzbrojonych pogan i gdyby nie przytomność jednego z przewodników, z ich plemienia, żleby było z karawaną.

Przewodnik ów, wytłomaczył rozwścieczonemu ludowi, że nie ta, lecz inna karawana, która jest już o wiele od nich

dalej, spaliła bożka i popędziła do innego miasteczka, gdzie również ma obalić podobną figurę, ma bowiem za zadanie poniszczyć wszystkie ich bóstwa.

Uwierzono mu i puszczono się ze strasznemi okrzykami za rzekomą karawaną, która w istocie nie była nigdzie w tych stronach, nasi zaś podróżni umykali czemprędzej, aby być jaknajdalej od mścicieli.

Posuwając się coraz to bardziej na północ, doszła karawana do Tobolska, przebyła tam bardzo ciężką zimę, nakupowała futer i doczekawszy się wiosny, która na Syberji równa się naszej zimie, wyruszyli z powrotem do kraju.

Robinson zaznajomił się na Syberji z wygnańcami, między którymi był pewien książę z synem.

Namawiał ich, aby uciekli z nim w przebraniu, ale ojciec przywykł już do tej mroźnej krainy i powracać do siebie nie życzył, prosił tylko aby zabrano syna, któremu było tu źle i tęskno.

Po przebraniu za kupca, syn księcia, pożegnawszy się z ojcem powrócił do swego kraju.

Robinson przebył szczęśliwie drogę, sprzedał bardzo korzystnie zakupione na Syberji futra i po latach dziesięciu podróży powrócił do rodzinnego ogniska.

Zastał tam wszystkich przy życiu. Wdowa po kapitanie wychowała mu synów na dzielnych i szlachetnych ludzi. Jeden z nich został marynarzem i powrócił właśnie z morskiej podróży, obaj inni byli inżynierami.

Robinson, powróciwszy do Marsylji, choć niezbyt już młody, nie opuścił rąk bezczynnie.

Pobyt na wyspie, konieczność zdobywania samemu, — bez niczyjej pomocy środków do życia, wyrobiły w niegdyś lekkomyślnym i nie lubiącym pracy Robinsonie, zamiłowanie trudu, chęć ciągłą do czynów i niespożytą energię.

Kto go znał przed ucieczką z domu rodzicielskiego, kto patrzał na rozpieszczonego i rozleniwiałego jedynaka, ten uwierzyć nie mógł, że oto ten rzeźki jeszcze, pomimo podeszłego wieku, staruszek, jest tym samym dawniej wałęsającym się nad brzegiem morza lub wysypiającym się w trawie ogrodu Robinsonem.

I teraz, choć znużony przejściami, tyle razy moralnie zgnębiony utratą ukochanych osób, zabrał się żwawo do dzieł społecznych, zakładając przy pomocy uzbieranego funduszu i ofiarności społeczeństwa ochrony, szkółki i przytułki dla rodziców, którym morze zabrało dzieci.

Czuwając nad budową przytułku, przed oczami miał wciąż dwoje ukochanych, którzy pozostawszy bez synów, znaleźli się przed powrotem Robinsona z wyspy, prawie bez środków do życia.

Powyszukiwał osieroconych przez marynarzy i poumieszczał w schludnych pokoikach przytułku, dając do końca życia kąt ciepły i strawę.

Wspaniałe budynki wzniesione przez zacnego Robinsona były jakby pomnikiem cnót jego i wielkiego, szlachetnego serca.

Synowie jego poszli śladem swego ojca, dając najlepszy przykład kolegom swym i potomności.

Jeden z nich, inżynier, przeprowadzał słynne koleje i

tunele w Anglji i Szwajcarji, drugi, marynarz, odwagą swą i rozsądkiem nie raz jeden wydźwignął z niebezpieczeństwa okręty, któremi kierował, jako kapitan.

Syn ten był radością życia Robinsona i jego starości osłodą. Zawsze pałający chęcią podróżowania przedstawiał jakby odbicie cnót ojca i niezapomnianej nigdy matki.

Robinson miał już 72 lata, zniedołężniał trochę i chęci do dalszych przygód i podróży już nie miał.

Postanowił w ciszy i modlitwie życie swe przepędzić, przygotowując się do drogi, która zwie się wieczną.

Umarł otoczony miłością rodziny i ludzkim szacunkiem.

KONIEC.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronach autorów: Elwira Korotyńska, Daniel Defoe.*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Robinson Kruzoe

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Seboloidus
- Fluokid
- Zetzecik
- Wieralee
- Ynnarski
- Piotr433
- NiktWażny
- Rocket000
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium